odgłosu

Nr 8 (312)
23 II 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK · ROK VII

W numerze: ● Początki Łodzi akademickiej ● Punch o dwóch mitach ● Kaszyński o repertuarze teatrów ● Nadolski – wspomnienia archeologa ● Kunka o kolorach mikrokosmosu ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

LUIGI PIRANDELLO
Amfora

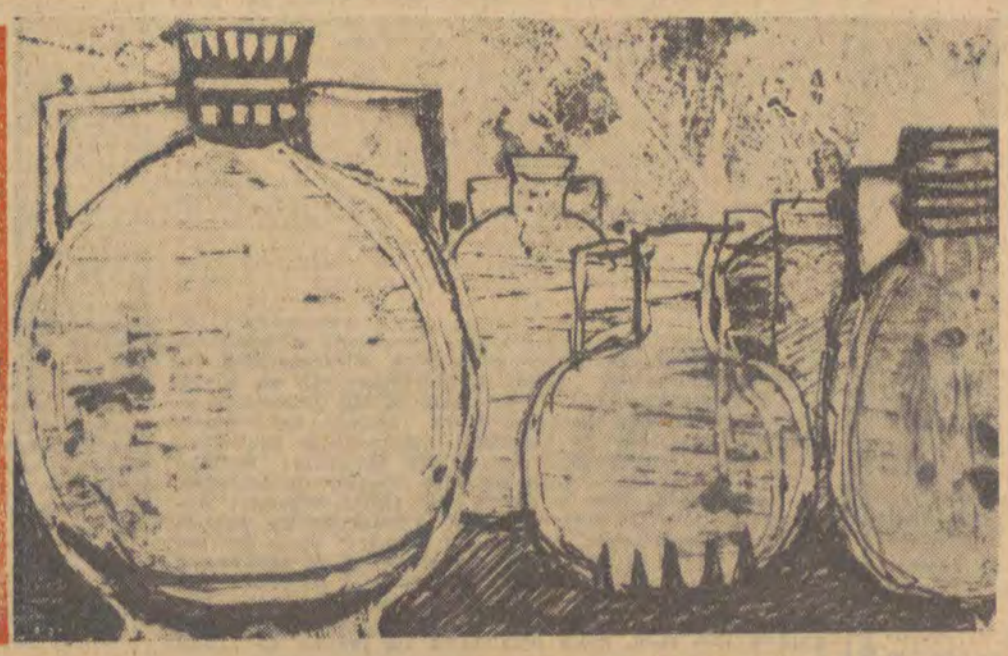

Także oliwki tego roku pięknie obrodziły. Mimo mgły, która dokuczyła im w okresie kwitnienia, gospodarne te drzewa, obładowane już w poprzednim roku, nie straciły nic ze swego owocu.

Zirafa miał ich sporo w swoim folwarku Quote a Primosole. Przewidując, że dla pomieszczenia oliwy z nowego zbioru nie wystarczy pięciu starych, polewanych amfor, które stały w piwnicy, zamówił w San Stefano di Camastra, gdzie je wyrabiano, szóstą. Sięgała mężczyźnie do piersi, brzuchata i wspaniała, niczym ksieni wśród pięciu pozostałych.

Zrozumiałe, że z powodu tej amfory pokłócił się z miejscowym garncarzem. Z kim się zresztą nie pokłócił Lollo Zirafa? Procesował się o byle głupstwo, nawet o kamyczek, który spadł z granicznego muru, nawet o źdźbło słomy. Mało brakowało, a zrujnowałby się szalejąc na punkcie znaczków stemplowych, wysyłając pozwy i płacąc zawsze wysokie koszty sądowe.

Mówiono, że jego radca prawny, zmęczony tym, iż zjawiał się u niego na mule dwa, trzy razy w tygodniu, podarował mu — aby się go pozbyć — kodeks, bogatą w szczegóły a malutką jak mszalik książeczkę. Niech sam spróbuje wyszukać sobie podstawę prawną do sporów, jakie chciał rozpocząć.

Poprzednio, gdy chciano się z niego nabijać, wołano: „Siodłajcie mula!". Teraz natomiast mówiło się: „Poradźcie się książeczki".

Don Lollo replikował:

— Pewnie. A was szlag trafi, sukinsyny.

Nową amforę, która kosztowała go cztery uncje w brzęczącej monecie, w oczekiwaniu na miejsce, które się miało dla niej znaleźć w piwnicy, postawiono tymczasem w pomieszczeniu, gdzie stała prasa do wytłaczania winogron. Takiej amfory nigdy jeszcze nie widziano: mogła pomieścić prawie dwieście litrów. Żal było patrzeć na nią w tym wilgotnym zakamarku, przesyconym zapachem moszczu i ostrymi, a nieprzyjemnymi woniami, zalegającymi miejsca pozbawione powietrza i światła.

Dwa dni temu rozpoczął się zbiór oliwek i don Lollo był bardzo podniecony. Nie wiedział wprost co ważniejsze: na kogo więcej uważać — na zbierających, czy też na mulników, przywożących nawóz, który należało złożyć w pryzmach na pagórku, pod przyszłoroczny groch. Klął więc jak szewc, grożąc piorunem tym i tamtym: niech no tylko zauważy brak jednej oliwki (jakby je przedtem na drzewach policzył!), niech no jakaś kupka nawozu nie będzie dosyć wielka! W białym kapeluszu, w koszuli z podwiniętymi rękawami, podniecony, z płonącą twarzą, zlany potem — biegał tu i tam, rzucając wilcze spojrzenia i w złości pocierając ogolone policzki, na których potężny zarost pojawiał się niemal pod ostrzem brzytwy.

Pod koniec trzeciego dnia trzej chłopi zatrudnieni przy zbiorze oliwek, wchodząc do pomieszczenia, w którym stała prasa do wytłaczania winogron, aby złożyć tam drabiny i naczynia, zobaczyli, że piękna, nowa, amfora jest niemal dokładnie przepołowiona. Z przodu oderwał się wielki płat, jakby ktoś ciachnął, znosząc całą pełnię jej brzucha, do samego dołu.

— Patrzcie—no!

— Któż to zrobił?

— O matuleńko! Komu też dostanie się od don Lolla! Nowa amfora, tam do diaska!

Pierwszy, najbardziej wystraszony, zaproponował, żeby przymknąć natychmiast drzwi i pójść sobie po cichutku, zostawiając pod ścianą drabiny i naczynia. Ale drugi rzekł:

— Zwariowaliście? Nie znacie don Lolla? Gotów pomyśleć, że to my właśnie ją rozbiliśmy. Poczekajcie tu.

Wyszedł na dwór i przykładając dłonie do ust zawołał:

— Don Lollo! Hej, don Lollo!

Gospodarz był właśnie na pagórku, z tymi, którzy wyładowywali nawóz. Jak zwykle gwałtownie gestykulował, od czasu do czasu przyklepując obiema rękami denko swego białego kapelusza. Bywało że po takim uderzeniu nie mógł go potem ściągnąć z głowy.

Na niebie gasły już ostatnie błyski zachodzącego słońca, a w spokoju, który zstępował na pola wraz z miłym cieniem i wieczorną świeżością, miotały się gwałtowne gesty tego zawsze rozzłoszczonego człowieka.

— Don Lollo! Hej, don Lollo!

Gdy przyszedł i zobaczył zniszczenie, zdawało się, że zwariuje. Rzucił się na trzech chłopów, jednego z nich chwycił za gardło i przyparł do muru: wołając:

— Krwi!... Już wy mi zapłacicie!

Schwycony z kolei przez obu pozostałych — na ich ziemistych twarzach malował się zwierzęcy strach — zwrócił przeciwko samemu sobie wściekłą złość: cisnął kapelusz o ziemię, bił się po gło-

dalszy ciąg na str. 5

Wielki Niewiadomy

Pod tym mianem w gwarze redakcyjnej nie kryje się bohater jakiegoś cyklu telewizyjnego a la Zorro. Wielki Niewiadomy, to czytelnik „Odgłosów", jako określona zbiorowość: czytelnik każdego numeru pomnożony przez tysiące egzemplarzy nakładu tygodnika. Czytelnik jako suma różnych nawyków, zainteresowań i potrzeb.

Ale dlaczego — Wielki Niewiadomy? Skąd ta nazwa? Tu trzeba by wyznać: mimo iż „Odgłosy" wychodzą już od siedmiu lat, wciąż mało wiemy, o ich czytelniku. Skoki nakładu, jego zwyżki i zniżki bywały i są po dziś dzień, dla redakcji niespodzianką. Brak nam aparatu badania opinii czytelniczej, działamy więc „na wyczucie", kierując się dziennikarskim instynktem. I chętnie mitologizujemy. A więc — „piszemy pod czytelnika" (czy naprawdę?). A więc argumentujemy: „tak chce czytelnik" (czy naprawdę?), albo „czytelnik tego nie lubi" (czy naprawdę?).

A tymczasem, jak się zdaje, Wielki Niewiadomy po prostu nie istnieje. Jest fikcją. W ostatnich numerach nieraz pytaliśmy Czytelników o ich zdanie o „Odgłosach". I listonosz coraz częściej przynosi nam odpowiedzi, listy, które jednak nie zawierają jakiejś zgodnej oceny. Z kopert wypadają kartki zapisane pismem wprawnym lub niewprawnym i doradzają:

— *Piszcie mniej o kulturze, a więcej życiowo, do czytania...*".

— „*Podnoście poziom pisma, nadajcie mu rangę tygodnika kulturalnego...*".

— „*Drukujcie z myślą o młodzieży: jazz, moda, sport, podróże*".

— „*Redagujcie pismo poważniej, z myślą o ludziach dojrzałych...*".

— „*Koniecznie więcej nowoczesności!...*".

— „*Kończcie z tą nowoczesną poezją i nowoczesną sztuką...*".

Coraz wyraźniej na tle tych listów rysuje się postać żywego, indywidualnego czytelnika, to młody człowiek o nowoczesnych zainteresowaniach, ale także i przywiązany do tradycji nauczyciel. To pracująca zawodowo kobieta, to inżynier, lub majster. I Ty, który właśnie teraz czytasz te słowa. Pismo musi być adresowane do nich wszystkich, a więc i do Ciebie. I Twój list do redakcji — jeśli go napiszesz — pomoże nam redagować „Odgłosy".

RECYDYWA

SPOTKANIA

PODAJEMY FRAGMENTY STENOGRAMU DYSKUSJI, KTÓRĄ ODBYLIŚMY W REDAKCJI PRZY WSPÓŁUDZIALE DOC. DR MIKOŁAJA LEONIENIEGO, SĘDZIEGO SĄDU WOJEWÓDZKIEGO, DR JANA WASZCZYŃSKIEGO ADWOKATA ORAZ DR HENRYKA POPŁAWSKIEGO, PROKURATORA Z PROKURATURY WOJEWÓDZKIEJ DLA M. ŁODZI.

ODGŁOSY: Dlaczego podejmujemy problem recydywy? Skłoniły nas do tego z jednej strony dane z rocznika statystycznego, z drugiej biografie zatwardziałych przestępców pokroju Zdanowicza. Ilość recydywistów wzrasta z roku na rok przy jednoczesnym spadku liczby skazań. Warto więc zastanowić się jakie są tego przyczyny.

H. POPŁAWSKI: Wystarczy prześledzić pewne kategorie przestępstw, w których recydywa wzrasta. Zasadniczy trzon stanowią zabory mienia, tak społecznego jak i indywidualnego. Decyduje tu więc chyba chęć lepszego życia bez pracy, kosztem innych. Właśnie w tej grupie przestępstw daje się zauważyć to, co my, prawnicy, nazywamy przestępstwem z nawyknienia, przestępstwem zawodowym.

ODGŁOSY: Pamiętamy ze swych dziennikarskich peregrynacji domy w Łodzi, które milicjanci wskazywali jako potencjalne ogniska przestępczości. Wiadomo było, że na trzecim czy czwartym piętrze mieszka ileś rodzin, z których część notorycznie siedzi w więzieniu, inni wychodzą, ale przestępstwo jest w takich domach stale uprawiane.

H. POPŁAWSKI: Niestety i teraz daloby się wskazać podobne meliny. Tam, gdzie spotykamy się z przestępczością w ogóle, a z recydywą w szczególności poziom życia, a ściślej kultury i moralności przedstawia wiele do życzenia.

A chyba można by zmobilizować komitety blokowe czy domowe do rozmów z ludźmi i zapobiegania w ten sposób tym ujemnym zjawiskom społecznym. Jeszcze ważniejsza jest sprawa ratowania przed demoralizacją ich rodzin.

ODGŁOSY: Czy jednakże recydywa nie jest wynikiem obiektywnych trudności życiowych? Spotykaliśmy się z faktami uniemożliwienia przestępcy, który odbył karę, powrotu na drogę normalnego życia.

J. WASZCZYŃSKI: Solidaryzowałbym się z artykułem o chuligaństwie, zamieszczonym w „Życiu Warszawy", którego autor p. Szerer, notabene sędzia, uzasadnia, że pogarda dla zasad współżycia społecznego nie bierze się z powietrza, a jej podłożem jest zwykła niechęć do pracy. Co dla Szerera jest probierzem chuligaństwa, to dla mnie jest źródłem recydywy. No, ale nie tylko. Bo recydywa istnieje, gdy istnieje szansa bezkarności. Widziałem w swej praktyce sprawców, którzy zanim stanęli przed sądem, popełniali 25—30 przestępstw. Nie tak dawno w Rawie Maz. broniłem młodego człowieka, który dokonał coś około 30 kradzieży. Wpadł dopiero na czymś poważnym, ale drobne kradzieże uchodziły mu zupełnie bezkarnie. I to się pokrywa z tym, co zwykle przestępcy myślą. Myślą, że nie wpadną i nie stwarzają sobie żadnego systemu zabezpieczeń, zupełnie inaczej niż na Zachodzie, gdzie przestępstwo ma często bardzo zorganizowany charakter. U nas coś na kształt zabezpieczenia przed wpadką spotyka się tylko w odniesieniu do przestępstw natury gospodarczej. Wg mnie ta beztroska przestępców wiąże się z wciąż jeszcze niedostateczną wykrywalnością przestępstw i to jest jednym z powodów recydywy. Bo to znaczy, że opłaca się podjąć ryzyko, które nie jest zbyt wielkie mimo poprzedniego skazania.

H. POPŁAWSKI: A ja nie uważam, żeby liczenie na bezkarność było najważniejsza przyczyna recydywy. Są u nas przecież kategorie przestępstw, np. zabójstwa, których wykrywalność jest największa, w skali powiedziałbym europejskiej.

ODGŁOSY: Ale to inna sprawa. Morderstwa, zabójstwa w afekcie, to są już te wielkie namiętności...

H. POPŁAWSKI: No tak, ale wykrywalność przestępstw polegających na zaborze mienia jest też nie-

Dokończenie na str. 3

odgłosy

W świecie

Państwo policyjne

Siedziba FBI znajduje się w Waszyngtonie przy Pensylvania Avenue.

Tu zgłaszają się kandydaci do tej jednej z wielu organizacji policyjnych Stanów Zjednoczonych. Chętnych jest wielu — przyjętych mało. Trzeba mieć ukończone wyższe studia — to jeden z pierwszych warunków przyjęcia. A potem — długie lata szkolenia w stanie Virginia. Każdy agent FBI musi być przynajmniej tak zręczny jak cowboy z westernu, musi władać coltem i nożem, znać sztukę judo, a nie znać strachu!

FBI powołał do życia Teodor Roosevelt. Zamiarem prezydenta było stworzenie superpolicji. Lata 1924—1933. W Stanach Zjednoczonych szaleją gangsterzy. Nazwisko Al Capone budzi postrach nawet policji, która wobec niego jest bezbronna.

Wówczas decyzją Kongresu agenci FBI dostają broń do ręki. Przychodzą lata wielkich sukcesów FBI: ujęcie Al Capone'a, Dillingera, którego tropiono tygodniami, czy wykrycie skandalicznej afery niemieckiego finansisty T. Mertona, z którym były związane wielkie nazwiska finansjery amerykańskiej. W czasie ostatniej wojny światowej Hitler wysłał do N. Yorku grupę sabotażystów doskonale przygotowaną do działalności szpiegowskiej. Ale zanim ludzie ci zdołali rozejrzeć się w terenie, już na ich tropie byli agenci FBI.

A wykrycie przyczyny katastrofy lotniczej, jaka w roku 1955 miała miejsce w stanie Colorado? To nie piorun spalił samolot. Sprawcą katastrofy był John Graham. Do samolotu, którym leciała jego matka włożył bombę zegarową. Stawką były miliony dolarów ubezpieczenia.

Agenci FBI potrafią z ziarnka prochu, popiołu papierosa, czy kawałka żelaza odczytać sprawcę. Najnowsze mechanizmy i urządzenia, filmy, mikrofilmy, telewizja kolorowa wszystko stoi do dyspozycji FBI. Od chwili gdy na jej czele stanął John Edgar Hoover zakres działania FBI rozszerzył się znacznie.

Kim jest Hoover? Dyktatorem, szarą eminencją Białego Domu... a może tylko zręcznym i sprytnym urzędnikiem, który potrafił stworzyć jedną z najpotężniejszych machin policyjnych naszych czasów? Zmieniają się prezydenci St. Zjednoczonych, ale John Hoover od lat trwa na tym samym posterunku. Ani Roosevelt, ani Truman, ani Kennedy, nie ośmielili się odwołać go z tego stanowiska. Amerykanie nazywają go mister FBI. Mówią, że żyje w domu z kości słoniowej, i nie ma przyjaciół. Zgodnie z ankietą Gallupa nazwisko Hoovera jest bardziej znane w Ameryce niż nazwiska Churchilla, Eisenhowera czy Stalina. Hoover to zażarty antykomunista. To on wydał rozkaz aresztowania Rosenbergów. Jak twierdzą jest w stanie w ciągu paru godzin wyaresztować tysiące ludzi. Sekretarka Hoovera p. Helen Grandy już w dziesięć minut po przekazaniu rozkazu aresztowania osoby podejrzanej, zapytuje telefonicznie czy polecenie zostało wykonane. Tak pracują podwładni Hoovera.

Ambasadorami Hoovera są agenci 52 oddziałów FBI w St. Zjednoczonych i funkcjonariusze znajdujący się przy każdej placówce dyplomatycznej Stanów Zjednoczonych. Interesuje ich polityka i sprawy kryminalne. Mają powiązania z władzami policji na całym świecie. FBI w swoich kartotekach posiada chyba największy na świecie zbiór odcisków palców — 145 324 773 z czego 32 459 365 to ślady palców kryminalistów. W Stanach Zjednoczonych wszyscy urzędnicy zatrudnieni w urzędach państwowych, w administracji muszą w biurach FBI zostawić odciski linii papilarnych. Olbrzymia kartoteka, którą dysponuje policja pozwala wykryć natychmiast osobę poszukiwaną, sprawdzić jej tożsamość, ustalić przestępcę. Elektronowe mózgi w ciągu paru minut klasyfikują te ludzkie ślady, a każdy odcisk palca jest tak dokładnie określony, jak gdyby był matematyczną formułą.

Jest rzeczą zrozumiałą, że fakt posiadania tak dokładnych informacji o niemal każdym człowieku żyjącym w St. Zjednoczonych budzi zastrzeżenia większości Amerykanów. Z różnych stron słychać głosy wzywające do ukrócenia władzy FBI. Większość ludzi żyje w ciągłym strachu. Czasem słowo FBI wystarczy aby rozmowy milkły natychmiast. A przecież FBI to tylko jedna z wielu policji Stanów Zjednoczonych. W swojej pracy ona też musi liczyć się z policją 52 stanów, z policją miejską i z policją wsi, z prywatnymi policjantami, z detektywami i z Departamentem Stanu. Musi rozwiązywać różnorakie problemy a równocześnie musi działać szybko i sprawnie.

W parę zaledwie minut po aresztowaniu Oswalda FBI mogło podać policji w Dallas wyczerpujące dane oskarżonego. Gdyby dokonano włamania do banku w Dallas FBI mogłaby działać natychmiast, to bowiem przestępstwo należy do kategorii przestępstw federalnych. Ściganie morderstwa nawet dokonanego na osobie prezydenta podlega kompetencji władz miejscowych. Jak wiadomo prezydent Johnson zmuszony był powołać specjalną komisję do wyświetlenia okoliczności śmierci swego poprzednika. Niestety, ostatnio oświadczono, że materiały zebrane przez komisję nie zostaną podane do publicznej wiadomości.

W kraju wielu policji każda policja ma swoją prawdę, I tylko dla siebie.

M. T.

Historia ONZ

Osmańczyka

Dla mnie osobiście najlepszą książką Edmunda Osmańczyka są „Sprawy Polaków", ogłoszone w 1946 roku. Byłem wówczas w Berlinie (gdzie zresztą przebywał także Osmańczyk) i pamiętam, z jakim zainteresowaniem zabrałem się do studiowania tej jego publikacji. W dorobku każdego pisarza i publicysty znajduje się książka, o której można powiedzieć, że zaangażował się on w nią całkowicie i bez reszty, że zawarł w niej doświadczenia całego swojego życia. Choć w roku ogłoszenia „Sprawy Polaków" Osmańczyk nie był brodatym starcem (ur. 1913), ta książka jest jego książką najbardziej dojrzałą, najbardziej osobistą i najbardziej ważką. Nie chcę przez to umniejszać wartości późniejszych jego prac, a zwłaszcza „Współczesnej Ameryki". Są one z pewnością cenne i ciekawe, lecz w moim przekonaniu nie dorównują tej pierwszej powojennej publikacji.

Nie da się zaprzeczyć, że „Sprawy Polaków" są namiętnym a zarazem bardzo trzeźwym obrachunkiem nie tylko z problematyką niemiecką, ale również z naszymi własnymi problemami w związku i na tle zagadnienia Niemiec. Była to książka polityczna, ciesząca jednych i gniewająca innych, ale i jedni i drudzy nie mogli odmówić jej waloru wypowiedzi pełnej i otwartej. Taką książkę mógł napisać tylko ktoś, kto od dziecka przeżywał sprawy Polaków i Niemców na co dzień. Osmańczyk, urodzony w Niemczech i w Niemczech wychowany, włożył w „Sprawy Polaków" to, czego żadnemu autorowi nie da największa nawet wiedza: przeżycie i doświadczenie osobiste. Przyznam się, iż żadna z jego późniejszych książek nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, jak tamte odległe już „Sprawy Polaków".

Ale Osmańczyk jest wybitnym publicystą i każda jego praca zasługuje na uwagę. Zasługuje na nią również wydana niedawno, bogato ilustrowana „Ciekawa historia ONZ" (Iskry, 1963). Składa się ona z trzech części, przedmowy i posłowia. W części pierwszej autor opowiada o wysiłkach stworzenia takiej platformy porozumień międzynarodowych, która zabezpieczałaby pokój, a podejmowanych na kontynencie amerykańskim i europejskim. Kreśli historię powstania i fiaska Ligi Narodów, która okazała się organem słabym, niezdolnym do likwidacji nabrzmiałych konfliktów po pierwszej wojnie światowej. Kiedy Mussolini podbijał bezbronną Abisynię — Liga Narodów okazała się bezradna. Równie bezradna była w chwili, gdy Hitler zajmował Austrię i ówczesny jej prezydent Miklasz mógł jedynie wznieść tragiczne westchnienie: „Boże, zbaw Austrię!" Padła Czechosłowacja, ugięła się pod ciężarem uzbrojonych po zęby wojsk hitlerowskich — Polska. Z jakim smętkiem i goryczą czytamy w książce Osmańczyka krótką historię Ligi Narodów i przypomnienie jej ostatniej dwudziestej sesji w dniu 14 grudnia 1939 roku, która ograniczyła się jedynie do zawieszenia na okres bezterminowy swojej działalności, nigdy już później nie podjętej. Mimo iż ukazało się wiele książek o epoce międzywojennej, bodaj żadna z nich nie odtworzyła pełnego tragizmu Europy tamtych lat. Trzeba niezwykłego talentu, znajomości rzeczy i wysiłku, by móc odtworzyć jej powikłania i absolutną bezsilność w znalezieniu drogi i sposobów, gwarantujących z jednej strony swobodny rozwój narodów, z drugiej — ich zbiorowe bezpieczeństwo. Wojna, która przyszła zniszczyła oczekiwania, tęsknoty i nadzieje i pogrzebała wiele szlachetnych (i dodajmy: naiwnych) złudzeń. Osmańczyk przypomina, jak w okresie ostatniej wojny szukano form przyszłych organizacji bezpieczeństwa międzynarodowego. Można by rzec, że odpowiedzialność za los skłóconej Europy wzięły na siebie dwa wielkie mocarstwa Ameryka i ZSRR, które istotnie i w czasie wojny i po jej zakończeniu odegrały decydującą rolę w kształtowaniu życia politycznego narodów. One też doprowadziły do utworzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Dokładnym opisem prac ONZ i jej różnych sekcji zamyka Osmańczyk pierwszą, najobszerniejszą i najbogatszą część swojej książki.

W części drugiej zawarł w formie encyklopedycznej 500 haseł „w porządku alfabetycznym ułożonych, informujących o wszystkim co jest najistotniej związane ze współczesną organizacją życia międzynarodowego". I wreszcie w części końcowej daje autor przegląd „najważniejszych wydarzeń międzynarodowych i poczynań ONZ, w 1962 roku". Pozostaje mi jeszcze powiedzieć, że przedmowa poprzedzająca „Ciekawą historię ONZ" jest bardzo króciutka, i nieco naiwnie pretensjonalna, natomiast interesująca, dająca wgląd w warsztat publicysty i w to, jak omawiana tu książka powstała — daje posłowie, z którego dowiadujemy się również szczegółów dotyczących zajęć i podróży autora.

Na naszym rynku wydawniczym książek tego rodzaju nie ma. W ogóle dość jeszcze uboga jest nasza literatura we wszelkiego typu leksykony, kompendia i opracowania encyklopedyczne. Jakże pod tym względem należy zazdrościć innym krajom, ot choćby Francji i NRF, a od pewnego czasu również i ZSRR, gdzie w szybkim tempie wzrasta ilość wydawnictw o charakterze encyklopedycznym, obejmujących najrozmaitsze dziedziny nauki i życia. Wspomnę, dla przykładu, świetnie opracowaną encyklopedię literacką, teatralną, duży tom traktujący o wydarzeniach międzynarodowych roku ubiegłego itp.

„Ciekawa historia ONZ" Osmańczyka jest rzeczywiście ciekawa, napisana lekko, anegdotycznie, materiał erudycyjny podająca w sposób przystępny, bez owego natręctwa, jakie często demonstrują „uczeni w piśmie" autorzy. Z tych też i innych względów zasługuje ona na to, by znaleźć się w bibliotece każdego inteligentnego czytelnika. Ludzie poważnie interesujący się sprawami międzynarodowymi znajdą w niej wiele cennego, uporządkowanego materiału o naszym współczesnym świecie. Może się ona również przydać amatorom rozwiązywania krzyżówek i szarad, którzy poszukują często źródeł wiadomości o faktach i wydarzeniach politycznych. Słowem — książka Osmańczyka może przydać się każdemu, co — w moim mniemaniu — jest jej najwyższą pochwałą.

Jan Koprowski

CASUS BECKWITH

W nawale informacji o walce Murzynów amerykańskich o równe prawa społeczne zamordowanie w Jackson w stanie Missisipi Medgara Eversa minęło prawie niezauważone. Ostatnio odbyła się rozprawa oskarżonego o tę zbrodnię Byrona De La Beckwitha.

Trzydziestosiedmioletni Medgar Evers kierował w Missisipi Ogólnonarodowym Stowarzyszeniem dla Postępu Ludności Kolorowej (NAACP). Stowarzyszenie to od pierwszych dni (zał. 1906 r.) przyjęło bardzo umiarkowany program stopniowej poprawy sytuacji społecznej i materialnej ludności „kolorowej" w USA.

W dniu 12 czerwca 1963 Evers wrócił do domu wkrótce po północy. Gdy wstępował na schody padł strzał. Evers był weteranem II wojny światowej, był człowiekiem wykształconym, był lubiany i szanowany. Gdy miał 14 lat, bliski jego przyjaciel został zastrzelony za obrazę białej kobiety. Do końca życia pozostał Eversowi przed oczami obraz zmasakrowanego człowieka.

4 000 osób w milczeniu postępowało za okrytą sztandarem trumną Eversa. Jakkolwiek poprzednie dni obfitowały w liczne starcia z policją, aresztowania i pobicia, pogrzeb nie został przez białych ojców miasta odwołany. Nagle ktoś zaintonował starą pieśń: Zanim będę niewolnikiem, zostanę pogrzebany... Z krzykiem: Dość morderstw! Wolności! tłum runął w kierunku miasta. Na najbliższym skrzyżowaniu czekała na nich policja z psami, granatami łzawiącymi, hydrantami i... karabinami. Aresztowano setki osób, liczba rannych i pobitych nie została nigdy podana.

W kilka dni po śmierci Medgara Eversa policja aresztowała De La Beckwitha. W styczniu br. stanął on przed sądem pod zarzutem zamordowania Eversa. Kim był Beckwith? On sam uważał się za prawdziwego południowca. Starannie ubrany, uśmiechnięty i uprzejmy „Delay" jak go nazywali znajomi, mieszkał samotnie w odległym o kilkadziesiąt kilometrów od Jackson miasteczku Greenwood.

Po śmierci rodziców od 12 roku życia Beckwith wychowywał się u zubożałego wuja. „Warunki były tam takie — wspomina jeden z sąsiadów — że biały nie powinien tak żyć". Upiorna, chorobliwa nienawiść do Murzynów narastała w nim z latami. „Starał się rasizm wstrzyknąć do wszystkiego. Jeśli rozmawiałeś o Noem, pytał czy w Arce był Murzyn, jeśli o Starym Testamencie chciał wiedzieć, czy pisze się tam o szczepach murzyńskich"; „Gdy mówił, podniecał się swymi słowami i wściekał coraz bardziej, że komunizm zwycięża" — opowiadali znajomi. Beckwith pisał pamflety, rozdawał je na ulicy, blokował drogę Murzynom do stacji autobusowej. Nawet południowcy zaczęli go unikać. Rasizm Beckwitha przeszkadzał mu nawet w pełnieniu funkcji agenta handlowego.

Po aresztowaniu Beckwith oświadczył dziennikarzom: „Nie mam nic do powiedzenia". W czasie śledztwa odmówił zeznań. Wkrótce okazało się, że ma on moc przyjaciół. Założyli oni fundusz pomocy, z którego mają być pokryte wszelkie koszty sądowe. „Twierdzę, że zastrzelenie Eversa było aktem patriotycznym i jeśli to Delay pociągnął za spust tamtej nocy, musiał on czuć, iż robi to dla Stanu i dla całego Południa. Beckwith jest Joanną D'Arc i jego przypadek, to walka ze złem integracji. Nie sądzę, by był on normalny, ale przecież Joanna również była stuknięta". — oświadczył jeden z nich.

Rozprawa miała miejsce w lutym br. Przez 11 dni procesu Beckwith zachowywał się jak błazen cyrkowy. Zakładał nogi na krzesło, wykrzywiał się do reporterów-Murzynów, wołał i pozdrawiał białą publiczność, na cały głos rozmawiał z przyjaciółmi, prokuratora częstował cygarami. Powołany przez obrońcę na świadka zdumiał wszystkich bezczelnymi, dwuznacznymi odpowiedziami. Odczytano jego list z więzienia do Tow. Kolekcjonerów Broni: „...przez następne 15 lat będziemy musieli dużo strzelać, by ochronić nasze żony, dzieci i nas samych od złych nigrów".

— Czy pan to pisał? — pytał prokurator.

— Być może że pisałem, ale to nie jest do czytania dla wszystkich, nie dla tych, którzy nie są członkami Towarzystwa.

Po 22 godzinach narady sędziowie nie potrafili uzgodnić wyroku i rozprawa odbędzie się ponownie 23. III. br. Z półuśmieszkiem na ustach Beckwith udał się do celi. Jak się okazało na 12 sędziów 7 głosowało za uwolnieniem. Wyrok był całkowitym zaskoczeniem. Nie, nie dlatego, że pięciu sędziów głosowało za skazaniem Beckwitha. Odwrotnie: spodziewano się wyroku uniewinniającego. Nie nadarmo przecież Delay był odwiedzany przez byłego gubernatora Missisipi Barnetta i słynnego gen. Walkera z Dallas. Nie bez przyczyny Beckwith już na początku rozprawy ze śmiechem oświadczył: „Nie rozumiem czemu oni od razu nie puszczą mnie do domu".

Czy rzeczywiście nie znaleziono dowodów przeciw Beckwithowi? Znaleziony w stogu siana koło domu Eversa karabin z optycznym celownikiem był własnością Beckwitha. Jakkolwiek ze śladów można się zorientować, iż morderca wytarł starannie broń, to jednak zostawił dobrze zachowany odcisk palca na soczewce celownika — jest to odcisk palca Beckwitha. Rozcięcie łuku brwiowego Delaya odpowiada kształtem krawędzi celownika. Dwóch taksówkarzy zeznało, że na cztery dni przed zabójstwem Eversa, Beckwith informował się gdzie mieszka „ten niger, przywódca NAACP Evers". Tragicznego dnia widziano samochód firmowy Beckwitha zaparkowany w pobliżu miejsca zbrodni. Po ośmiu miesiącach śledztwa, w trakcie rozprawy zgłosiło się dwóch świadków obrony — policjantów z Greenwood. Zeznali oni iż krytycznego wieczora widzieli Beckwitha w Greenwood dając mu murowane alibi. Był to jedyny atut obrony w tym procesie.

Pod koniec ub. tygodnia obrońcy złożyli wniosek o zwolnienie Beckwitha za kaucją do czasu następnej rozprawy.

FR

RECYDYWA

dalszy ciąg ze str. 1

mała, zwłaszcza gdy chodzi o mienie społeczne. Na Zachodzie, szczególnie w NRF też jest duża wykrywalność sprawców kradzieży, a mimo to istnieje ogromny odsetek recydywistów. Właśnie dlatego nie upatruję głównej przyczyny w liczeniu na bezkarność... Sądzę raczej, że istnieje margines społeczny, który na Zachodzie nazywa się lumpenproletariatem, a u nas nie ma nazwy...

ODGŁOSY: My znamy ten margines z książek Brychta czy Nowakowskiego.

H. POPŁAWSKI: Margines ten nie ma nazwy, ale istnieje i trzeba się do niego dobrać.

ODGŁOSY: Czy po prostu więc wymiar kary nie jest za niski w stosunku do poczucia ryzyka, jakie charakteryzuje ten margines społeczny? Może należałoby sięgnąć do jakichś ostrzejszych środków represyjnych, jak to uczyniono w stosunku do chuliganów.

N. LEONIENI: Zwalczanie przestępczości odbywa się i musi się odbywać nie tylko na drodze represji karnej. Kara nie jest jedynym środkiem zwalczania przestępczości. Ale trzeba przyznać, że sądy, niestety, dość pobłażliwie traktują recydywistów. Do rzadkości należy przypadek wymierzenia kary o połowę wyższej od przewidywanej przez ustawę, w wypadku recydywy, co leży w możliwości sądu.

J. WASZCZYŃSKI: Musimy jednak pamiętać, że recydywiści mają poczucie kary, która im się należy. Zdają sobie sprawę, jaki może zapaść wyrok i oceniają jego trafność w zależności od tego, czy mieści się w określonych granicach ich własnych przewidywań. I albo go przyjmują, jeśli tym ich wyobrażeniom sprawiedliwości odpowiada, albo jeśli nie odpowiada – uważają, że dzieje im się niesłychana krzywda. Znana była historia, kiedy to zapadł wyrok rażąco odbiegający od tego, czego się spodziewali. To wywołało formalny bunt na sali rozpraw, agresywne wystąpienie oskarżonych wobec sądu. Jeden chwycił pepeszę stojącego obok milicjanta, ten w ostatniej chwili zatrzymał w ręku magazynek. Inni oskarżeni zdjęli trepy i zaczęli nimi ciskać. To byli przeważnie recydywiści.

M. LEONIENI: Przypominam sobie tę sprawę. Trzeba jednak stwierdzić, że sądy są zbyt liberalne w stosunku do recydywistów. Przed paru dniami miałem w ręku sprawę 40 letniego kieszonkowca, który łącznie spędził w więzieniach 17 lat. Ostatnio dokonał w tramwaju kradzieży portmonetki z kieszeni kobiety, było tam 50 zł. Został skazany na półtora roku więzienia. Jest to nawet, jak na praktykę sądową, kara dość wysoka. A przecież za ten czyn sąd miał prawo wymierzyć karę 7 lat i 6 miesięcy więzienia. Recydywista ten na parę tygodni przed skazaniem wyszedł z więzienia. Odbywał karę więzienia za kradzież kieszonkową, również 1 rok i 6 miesięcy więzienia. Z wywiadu MO wiadomo, że nigdy pracą się nie parał. Nie ma więc żadnej pracy, ma natomiast żonę, która również zajmuje się kradzieżami kieszonkowymi. Niektórzy sędziowie za kradzież tego typu, co ta kieszonkowa, w tramwaju, potrafią wymierzyć np. 10 miesięcy więzienia, że to przecież tylko 50 zł. Kierują się tutaj więc zasadą źle pojmowanej odpłaty.

J. WASZCZYŃSKI: Z doświadczeń obrońcy wiadomo mi, że do niedawna wielu młodych sędziów nigdy nie widziało więzienia, a mimo to orzekali, skazywali. Wiem, że to się zmieniło, ale...

ODGŁOSY: A może surowość kary nie ma wpływu prewencyjnego. Wiemy przecież, że kiedy stosowano nadzwyczaj surowe kary np. w Szwecji za kradzież odcinano rękę, to na miejscu publicznej egzekucji kręcili się kieszonkowcy, których bynajmniej nie odstraszył widok męk ich pobratymca.

M. LEONIENI: Bo też nie na surowości polega idea kary celowej, racjonalizacyjnej. Chodzi o to, aby sędzia wymierzając karę zdeklarowanemu złodziejowi, wymierzył karę zdolną go poprawić. Nauka stoi na stanowisku, że nie może być mowy o poprawie przy karze krótkoterminowej.

H. POPŁAWSKI: No dobrze, a przecież kieszonkowiec o którym pan opowiadał przesiedział 17 lat w więzieniu i mimo to...

M. LEONIENI: Za każdym razem wymierzano mu bardzo niskie kary.

ODGŁOSY: W tym środowisku istnieje duma zawodowa: patrzcie jaki to ze mnie przestępca, ile to ja siedziałem.

M. LEONIENI: Ale niech taki bohater liczy się z ryzykiem. Bo przy niskich karach on się liczy z ryzykiem bardzo nieznacznym. Gdyby go spotkała stanowcza represja karna, byłaby to szansa oddziaływania reedukacyjnego niezależnie od sprawy izolacji czy prewencji. Stosowanie drobnych kar oznacza w gruncie rzeczy niewiarę w karę poprawczą.

J. WASZCZYŃSKI: Myślę, że to nie tylko kwestia rozmiarów kary, ale i sposobu jej wykonania. Od niedawna ta sprawa od strony więziennego wykonania kary wyglądała bardzo niedoskonale. Sprawy segregacji, rygorów, premii i kar, a więc w ogóle systemu wychowawczego stanęły przed więziennictwem dopiero od 1956 r.

H. POPŁAWSKI: System penitencjarny może wiele zdziałać, ale potrzebne jest zastosowanie ścisłej izolacji recydywistów i więźniów karanych po raz pierwszy.

ODGŁOSY: To znaczy odrębne zakłady karne?

H. POPŁAWSKI: Odrębne zakłady, lub ściśle izolowane oddziały. U nas dąży się do tego.

H. POPŁAWSKI: Niebezpieczeństwo tkwi w tym, że zetknięcie się recydywistów i karanych po raz pierwszy jest i tak wybitnie demoralizujące.

ODGŁOSY: Ta sytuacja wymaga więc szczególnych wysiłków ze strony władz więziennych. I czy rzeczywiście stosuje się właściwą politykę penitencjarną.

Konkretnie, czy recydywista może korzystać np. ze skrócenia kary. Powszechnie uważa się, że wyroki sądowe ulegają zmniejszeniu na skutek np. dobrego zachowania więźnia. I stąd nastawienie: dostał 10 lat, co tam, posiedzi 2 lata i wyjdzie.

M. LEONIENI: O ile rozumiem chodzi panom o niezmiernie ważną ze społecznego punktu widzenia kwestię, a mianowicie sprawę wcześniejszego zwolnienia z odbywania kary. My, prawnicy, mówimy o przedterminowym, warunkowym zwolnieniu więźnia po odbyciu przez niego pewnej części, zwykle dwie trzecie kary i stwierdzeniu przez władze więzienne, że on swoim postępowaniem na tego rodzaju ulgę zasługuje. Do 1957 r. z tego rodzaju warunkowych zwolnień mogli korzystać również recydywiści. Co więcej przez pewien okres obowiązywała ustawa, która za szczególnie wydajną pracę produkcyjną zobowiązywała sąd do wcześniejszego zwolnienia więźnia. I rzeczywiście do 1957 r. zdarzały się wypadki wcześniejszego zwalniania recydywistów, którzy w swoim dobrze pojętym interesie zachowywali się pozornie zupełnie nienagannie, właśnie żeby zasłużyć na zwolnienie. Korzystało z tego wielu recydywistów silnych, fizycznie wydolnych do ciężkiej pracy.

J. WASZCZYŃSKI: Jeżeli dodać, że dawne przepisy pozwalały na zaliczanie jednego dnia pracy za dwa dni skazania oraz na skrócenie prócz tego kary do połowy, wiemy już skąd się wzięło to przekonanie pokutujące do dziś w społeczeństwie.

ODGŁOSY: Wiemy, że więźniowie i dziś liczą na rozmaite amnestie.

M. LEONIENI: Do 1957 recydywiści korzystali w pewnym zakresie z amnestii, których było kilka. A przestępcy są zorientowani w sprawach prawnych i wiedzą czy można liczyć na ulgi, i to w zasadzie słuszne. Ale obecnie recydywista nie może liczyć na warunkowe, przedterminowe zwolnienie.. I to słusznie, gdyż zapobiega się stosowaniu zwolnień w stosunku do przestępców, którzy nie wykazują dostatniej prognozy społecznej, co do których trudno rokować poprawę. Ale na tle badań kryminologicznych przestępczości daje się zauważyć niebezpieczne zjawisko. Otóż w 92 proc. recydywiści popełnili pierwsze przestępstwo przed ukończeniem 21 roku życia. To znamienne zjawisko powinno zwrócić uwagę na społeczną działalność usprawnienia walki z przestępczością nieletnich i młodocianych. Na drogę recydywy przechodzą przestępcy, którzy nie zostali zresocjalizowani po popełnieniu przestępstw w wieku młodocianym. Ta sprawa wymaga wnikliwego zbadania.

J. WASZCZYŃSKI: Że to ważna sprawa może świadczyć fakt istnienia w Stanach Zjednoczonych ośrodka, który zajmuje się badaniem przestępczości młodocianych w skali międzynarodowej. Opiera się on na opiniach korespondentów, których dobrano spośród znawców tego zagadnienia. W Polsce takim korespondentem jest prof. Siewierski.

ODGŁOSY: Czy więc na całym świecie można uchwycić związek między przestępczością nieletnich i młodocianych a konsekwencjami w przyszłości w postaci właśnie wielkiego odsetka recydywistów?

J.WASZCZYŃSKI: Relacja jest oczywista.

ODGŁOSY: Anegdotycznym niemal przykładem jest tutaj gangster Ruby, który bodaj że już w czternastym roku życia po raz pierwszy wszedł w konflikt z prawem.

J. WASZCZYŃSKI: Ruby jest klasycznym przykładem reprezentanta środowiska gangsterskiego, przestępczości zorganizowanej. Ale u nas na szczęście tego typu zorganizowana przestępczość nie istnieje. U nas przestępczość odznacza się o wiele mniejszą organizacją. I chyba lepiej dajemy sobie z nią radę; Największą bitwa chuliganów miała miejsce nie tak dawno w Sztokholmie, wzięło w niej udział blisko 30 tys. chuliganów, którzy bili się wzajemnie na ulicach.

M. LEONIENI: Ale u nas źródło recydywy tkwi często też w aspołecznej postawie. Np. dane na rok 1962 wskazują, że recydywa w wypadku uchylania się od płacenia alimentów jest największą, bo wynosi ponad 50 proc. Jeśli zaś spojrzeć na sytuację materialną sprawców tego przestępstwa, okazuje się, że są to osoby posiadające odpowiednie środki, osoby, które najczęściej z egoistycznych pobudek wstrzymują się od płacenia alimentów, bo piją, bo zakładają nowe życie rodzinne, bo nie uznają dziecka za swoje. Złośliwe niepłacenie alimentów wiąże się zawsze z aspołeczną postawą, z jakimś defektem moralnym.

J. WASZCZYŃSKI: Chociaż jako obrońcy, wiemy, że bywa i tak, że matki wyszukują sobie bogatych ojców.

M. LEONIENI: Myślę, że to szczególne wypadki. Chodzi mi o co innego. W przypadku uchylania się od alimentów mamy sytuację tego rodzaju, że sprawca pracuje, jest zatrudniony, a mimo to cechuje go aspołeczna postawa.

H. POPŁAWSKI: Co do środowiska przestępczego... Czy nie podnosi się za wiele hałasu, że trzeba pomóc tym, którzy opuszczają więzienie. Jeżeli my wiemy jakie trudności ma np. w uzyskaniu mieszkania człowiek, który całe życie uczciwie pracował, jeśli nie udało nam się wyprowadzić z suteren i strychów wszystkich ludzi uczciwych, to czy moralnie jest domagać się mieszkania dla przestępcy, który opuścił więzienie. Niewątpliwie nie można lekceważyć sprawy pomocy dla przestępcy, który odbył karę, nie można zapominać o próbach zdobycia go przez społeczeństwo, ale to nie może prowadzić do tego rodzaju sytuacji, żeby powstawała prawidłowość — jak wyjdziesz z więzienia, to dostaniesz mieszkanie. Bo przecież jakiekolwiek zakłócenie proporcji w rozmiarach tej pomocy mogłoby wytworzyć w społeczeństwie przekonanie, że uczciwość nie popłaca.

ODGŁOSY: Sprawa pomocy postpenitencjarnej jest odrębnym zagadnieniem, zwłaszcza sprawa jej aspektów moralnych. Zajmiemy się nią chyba na łamach pisma oddzielnie.

Łodzianie podróżują

ANDRZEJ POLAŃSKI

— Czy Krystyna jeszcze ciągle jest obrażona?

— A skąd Pani o tym wie?

— Spotkałam ją w naszym Klubie Dziennikarza, była smutna i — sama, więc zapytałam co się stało, a ona, że Andrzeja diabli niosą na koniec świata, że Andrzej studiuje mapy, czyta encyklopedie, że Andrzej za pomniał o wszystkich i o niej.

— Psiakość, rzeczywiście. Ale ja zaraz do niej pójdę.

— Świetny pomysł. Tylko „Odgłosy" chciałyby przedtem coś niecoś o tej podróży „na koniec świata" wiedzieć.

— Nie koniec świata — a po prostu Afryka. Zaprasza mnie przyjaciel mojego zmarłego już ojca. Też łodzianin, nawet tam w Afryce myśli o naszym mieście, musiałem mu pisać w listach jak teraz wyglądają ulice, dzielnice.

— A więc przygotowania do podróży, do wielkiej podróży.

— Naczytałem się Hemingwaya, „Śniegi Kilimandżaro" mam zawsze pod ręką, na stoliku obok tapczanu. Urzekła mnie ta nieznana jeszcze góra. Czekam na spotkanie z Kilimandżaro. Na własne oczy zobaczę górę sześciukilometrowej wysokości, górę, która wznosi się o trzy zaledwie stopnie szerokości geograficznej od równika, a przez okrągły rok „nosi" śniegową czapę. Kilimandżaro pokryte lodem w tej części świata, która aż dyszy od żaru.

— W okolicach Kilimandżaro żyje kilka plemion. Wśród jakiego przebywa Pański znajomy?

— Ostatnio wśród Masajów. To podobno najbardziej romantyczne plemię w Afryce. Prawie wszyscy, ponoć bardzo przystojni mężczyźni, świecą szczeliną między zębami. Wybijają sobie specjalnie dwa zęby w dolnej szczęce. Masajowie to plemię niezwykle „eleganckie": mężczyźni i kobiety noszą w uszach koła o średnicy dochodzącej do 30 cm, a na nogach i ramionach całe zwoje miedzianego drutu. Podobno jeden Masaj nosi na sobie 12 do 15 kg żelastwa. W angielskiej encyklopedii przeczytałem, że młodzi panowie z plemienia Masajów aż do dnia ślubu muszą zaplatać warkoczyki. Ciekawe jak mnie „sklasyfikują" z moim jeżem na głowie?

— Ja się raczej zastanawiam, co Pan będzie tam jadł?

— Liczę na to, że pan Janusz nie pozwoli, aby syna jego przyjaciela karmiono mlekiem pomieszanym z „żywą" krwią bydlęcą. Masajowie ściągają krew z szyi zdrowej krowy — i zaraz piją. Tajemnica młodości Masajów?

— Jak Pan trafi do domu, w którym żyje przyjaciel Pańskiego ojca?

— Gdyby nawet nie odebrał mnie z lotniska — i tak nie miałbym chyba specjalnych kłopotów. Podobno jedyne istniejące tam „drogowskazy" (takie śmieszne kolorowe znaki malowane na drzewie — mam zdjęcie) prowadzą właśnie do siedziby białego doktora z nieznanej i bardzo dalekiej Polski, z miasta, którego nazwy Masajowie nie potrafią wymówić.

Rozmawiała: H. B.

ŁÓDŹ *w oczach* NIEMCÓW

Po wejściu hitlerowskich dywizji do Łodzi Wilhelm Hallbauer – ogłosił broszurę pt. „Grundseatzliche Gedanken zum Raumproblem Lodsch". Książeczkę wydrukowano 28 stycznia 1940 roku w zakładzie przy ulicy Piotrkowskiej 86. Ukazała się w znikomym nakładzie. Była przeznaczona tylko dla osób zaufanych, piastujących odpowiedzialne stanowiska w nazistowskiej hierarchii.

Na pierwszych stronach swego dzieła Hallbauer usiłował uspokoić „volksdeutschów", którzy obawiali się, że:

❖ przemysł Łodzi zagraża w jakiejś mierze przemysłowi w starym Reichu i z tego względu może zostać zdemontowany,

❖ Łódź zostanie włączona do Generalnej Guberni.

Hallbauer zapewnia, powołując się na autorytety, że łódzki przemysł włókienniczy ma dobre widoki na przyszłość. Rezerwuje wszakże dla „volksdeutschów" miejsce zupełnie różne od tego, jakie sobie wymarzyli. Dowodzi, że:

❖ Polakom udało się przezkodzić miejscowym „volksdeutschom" w poprawnym nauczeniu się języka niemieckiego. Polacy udaremnili im również uzyskanie jakiegoś zawodu technicznego czy handlowego. Dlatego też umocnienie „niemieckości" w Łodzi, nie mogło być powierzone „volksdeutschom" ani też Niemcom bałtyckim, lecz musiało spoczywać na barkach urzędników, kupców, ich rodzin sprowadzanych z Rzeszy. I tylko Niemcy z Rzeszy byli predestynowani do zajęcia stanowisk w handlu i wytwórczości...

Łódzcy Niemcy liczyli na kariery. Berlin, przemawiając piórem Hallbauera uznał, że „volksdeutsche" nadają się tylko na mniej eksponowane funkcje. Hallbauer, jak na architekta przystało, nakreślił przy sposobności wizję Łodzi za parę lat. Miała obowiązywać żelazna zasada – śródmieście jest tylko dla Niemców. Od tej zasady nie mogło być ani jednego odstępstwa. Potem autor uzupełnia:

❖ Tak zwaną inteligencję polską, być może 50 tysięcy osób, należy bez żadnego wyjątku wysiedlić poza obręb miasta. Tak samo trzeba będzie postąpić z 300 tysiącami Żydów. Będzie jednak rzeczą niemożliwą ściągnąć z Rzeszy 300 tysięcy robotników. Zresztą polscy robotnicy, kierowani w sposób stanowczy i ostry, mogą być pożyteczną siłą roboczą. Dowodzi tego przykład Westfalii... Niemiecka Łódź powinna liczyć 600 tysięcy osób. Jeśli chodzi o „volksdeutschów", ich liczba, od momentu wkroczenia wojsk niemieckich podniosła się z 50 tysięcy do 120 tysięcy. Wolno również przypuszczać że w Łodzi osiedli się w przybliżeniu 100 tysięcy „reichsdeutschów". W ten sposób mielibyśmy półmilionowe miasto, ale wciąż z polską większością. Trzeba więc do tego dodać 100 tysięcy Niemców bałtyckich, także wołyńskich...

Stosunek 1:1, jeden Polak na jednego Niemca, taka była koncepcja „Stadtoberbaudirektora". W konkluzji Hallbauer udziela funkcjonariuszom państwowym wieloznacznej instrukcji:

— W przeciwieństwie do Poznania, Łódź była zawsze rosyjska, bądź polska. Dlatego Łódź jest krajem kolonialnym, który musi być zarządzany kolonialnymi metodami...

W 1943 roku dr Weber wygłosił na uniwersytecie w Kilonii długi referat pt. – „Litzmannstadt, Geschichte und Probleme eines Wirtschaftsraumes im deutschen Osten",

Co powiedział, uznano za tak ważne, że cały wykład ukazał się drukiem w 1943 roku – Jena, drukarnia G. Fleischera. Miał on stanowić zachętę dla „reichsdeutschów" do osiedlania się w łódzkim okręgu przemysłowym. Herr Dr Weber nie żałował trudu, by dzieje niemieckich „pionierów" którzy „kolonizowali" Łódź w XIX wieku, przedstawić żywo i zachęcająco. Operował kategoriami historii i filozofii, umiejętnie grał na szowinistycznej nutce niemieckich korporantów.

Wypad w historyczną przeszłość był jedynie pretekstem do sformułowania postulatów na dzień dzisiejszy. Dr. Weber radził centralnym urzędom traktować „reichsdeutschów", którzy wyjadą do Łodzi, w sposób uprzywilejowany z każdego punktu widzenia. Żądał, by tym „reichsdeutschom" wypłacano wyższe pensje, zapewniono lepsze mieszkania, niż jakiemukolwiek innemu obywatelowi Trzeciej Rzeszy. Proponował także, by fabrykanci korzystali z różnych ulg podatkowych.

Herr Dr Weber próbował po prostu wytargować dla swych współziomków w Łodzi najwyższą w Rzeszy stopę życiową. Nie krył zaniepokojenia, które podzielali wszyscy hitlerowscy dygnitarze w „Warthegau". Spodziewano się szerokiego strumienia „niemieckiej krwi", który miał popłynąć z Reichu do Łodzi i zapełnić wolną przestrzeń po wymordowanych Polakach i Żydach. Nic z tego nie wyszło, popłynęła tylko wąska strużka karierowiczów, która rychło wyschła na dobre. Więc Dr Weber pragnął stworzyć dla Niemców w Łodzi raj na ziemi. Łódź miała być dla nich ziemią obiecaną bez przenośni.

Dr Weber zalecił między innymi stosowanie tak zwanych „Lockpraemii" dla zwabienia rodaków do Łodzi. Żądał państwowych gwarancji dla wkładów kapitałowych i wygórowanej stopy procentowej od tych kapitałów. Napisał:

– Nasze władze winny dać wiążące zapewnienie, że każdy kto kieruje swe kapitały do „Litzmannstadtu", niczym absolutnie nie ryzykuje...

Wyjazło szydło z worka. Ryzyko było zbyt wielkie nawet dla awanturników spod ciemnej gwiazdy którym śniły się miękkie fotele i armia niewolników na rozkazy. W końcowym słowie Dr Weber, nie mogąc widocznie opanować melancholii i złych przeczuć, zauważył z goryczą:

– Mimo dużych wysiłków i wielkich możliwości, wcale nie będzie rzeczą łatwą zaludnić wschodnie tereny niemieckimi ludźmi. W Berlinie, Monachium, Hamburgu można wygodniej żyć aniżeli w „Litzmannstadt"...

Także bezpieczniej. Lecz o tym aspekcie sprawy Dr Weber nie wspominał. Nie wypadało. Bądź co bądź piastował bardzo ekonomiczną funkcję. Był prezesem Izby Gospodarczej w Łodzi – Praesident der Wirtschaftskammer Litzmanstadt".

Na marginesie tych epizodów „niemieckiego podboju Łodzi" uwaga: co też dziś robią panowie Hallbauer i Weber?

JAN BĄBIŃSKI

DWA MITY

Jeśli nic się nie zmieni, kiedy słowa te ukażą się drukiem, będzie już po wszystkim. Ostygną reflektory. Skończy się wielkie widowisko. Jednego z nich wyniosą z ringu. Jeden z nich wygra. Albo Cassius Clay albo Sonny Liston. Powinien wygrać Liston. Ale tu niepodobna bawić się w proroka. Clay umie sporo. I jest szybki. Bardzo szybki.

Cassius Marcellus Clay... Widzieliśmy go. Pamiętamy. Pietrzykowski wygrywał z nim w Rzymie przez sześć minut. Był mistrzem olimpijskim aż do trzeciej rundy. A potem? Potem przyszła trzecia runda. Pietrzykowski siadał się na nogach, półprzytomny czekając jakby na cios miłosierdzia. Cios, po którym już nie wstanie. Cassius Marcellus Clay... ma lat 22. Był najlepszym bokserem rzymskiej Olimpiady. Od kilku lat jest zawodowcem. Nie przegrał żadnej walki. I żadnej nie zremisował. Raz tylko był o krok od przegranej. Leżał na deskach. Ale miał szczęście. Ocaliła go kontuzja przeciwnika. To wszystko, co wiemy o nim. Tak, to wszystko. Reszta jest mitem. Mitem Cassiusa Clay. To mit bezczelnej, aroganckiej, tandetnej doskonałości. Ta doskonałość nie ukrywa się przed nami. Nie spuszcza oczu. Nie rumieni się. Nie jest doskonałością pierwszej naiwnej. Przeciwnie, szuka nas. Żąda naszych spojrzeń. Jest natarczywa. Jest natrętna. Musimy ją podziwiać. Jeśli nie podziwiamy, podziwia samą siebie. Jeśli odwracamy się od niej plecami, ciągnie nas za rękaw. Tandetna doskonałość proklamująca się doskonałością. Wszędzie. Zawsze. Pod każdym względem. Cassius Clay — mityczny Cassius Clay — jest wielkim bokserem. Jest największym bokserem. Ale to nie wystarcza. Jest również piękny. Jest najpiękniejszy. Kochają go wszystkie kobiety. Pisze wiersze. Jest wielkim poetą. Jest czarny. Jest wielkim Murzynem. To mało. Wciąż jeszcze mało. Więc Clay — mityczny Cassius Clay — będzie prorokiem. Przepowiada przyszłość. Na razie w skromnym zakresie. Przed walką wie kto wygra. A wygrać może ją tylko on — największy z wielkich i najpiękniejszy z pięknych. I wie kiedy ją wygra, w której rundzie. Nigdy się nie myli.

Jest człowiekiem. Nadal człowiekiem. Ale już balansuje na krawędziach człowieczeństwa. Mówi o sobie, że jest Jazonem płynącym do Kolchidy. Herkulesem podczas dwunastu prac. Tak, to człowiek. Jeszcze człowiek. Co najwyżej — wskazany przez boga. Może tknięty jego dłonią. Na pewno zaś człowiek doskonały. Arogancką tandetną doskonałością masowego mitu.

Naprzeciw Cassiusa Clay stanie Sonny Liston. To już inny mit. Zupełnie inny. Mniej pociągający i mniej zabawny. Sonny Liston nie jest doskonałością. Nie pisze wierszy i nie przewiduje wydarzeń. Umie tylko jedno. Ale umie to robić dobrze. Nawet bardzo dobrze. Mit Sonny Listona jest mitem specjalisty. Specjalista nie musi być Jazonem. I nie musi być „dobrym człowiekiem". Sonny Liston — mityczny Sonny Liston jest człowiekiem złym. Nie, nie tym, który udaje brutalność, pozoruje zło w nim obecne, w gruncie rzeczy będąc dobrotliwym poczciwcem o sercu jak wosk nad ogniem. A w najgorszym już razie — szlachetnością samą. Zło jest domeną Sonny Listona. Nie ukrywa tego. Obnosi to. Okazuje w każdym geście. Jest brzydki, niedźwiedziowaty. Zło musi być brzydkie. Ma brudną, gangsterską przeszłość. Wyroki, wyroki, więzienia. Jest również Murzynem. Złym Murzynem. To nie wuj Tom pani Beecher Stowe. To Murzyn, którego chce widzieć Południe. Kukła takiego Murzyna.

Sonny Liston nie jest wzorem. Jest zaprzeczeniem wzoru. Jest tym, którego się nie znosi. Którego się nienawidzi. I wita się gwizdami. Dlatego stał się elementem koniecznym. Jest niezbędny dla spektaklu. Dla widowiska. Publiczność kocha melodramat. Zwłaszcza publiczność amerykańska. Żąda nikczemnika. A już co najmniej — złego bardzo złego człowieka. To dodaje wdzięku całości. Wyzwala nienawiść widza. Angażuje go. Wciąga. Widz idzie na mecz. By zobaczyć, jak przegrywa zły, bardzo zły człowiek, łudząc się nadzieją, że może dziś, właśnie dziś zły, bardzo zły człowiek przegra. Że wreszcie stanie się zadość obietnicom melodramatycznej wyobraźni. Zło zostanie zdeptane, zatriumfuje dobro. Zaśni swą czystością. Objawi się białe, nieskalane, triumfujące.

Cassius Marcellus Clay i Sonny Liston... Tandetna doskonałość i zły, bardzo zły człowiek... Dźwigają swoje role. Będą je dźwigać, wchodząc na ring 17 lutego w Convention Center, w Las Vegas, w stanie Nevada. Nie rozstaną się już z nimi. Mity przyrosły do nich. Weszły w świadomość. W żyły, w krew. Mit jest twarzą Listona, skórą Claya. Nie ma w nich już nic prócz mitu. Przyjęli role. Chcieli je zagrać. Nie można grać dobrze, nie wierząc choćby przez chwilę w autentyczność tego, co się mówi, robi, grając.

Uwierzyli więc. Najpierw na chwilę. A potem — uwierzyli bez reszty. Do końca. Wszystko jest teraz rolą. Każde słowo, gest. Nawet wówczas, gdy nikt nie patrzy. Tylko grymas, grymas bólu, gdy cudza pięść uderza w pod bródek, już tylko on jest autentyczny. Tylko on jest prawdziwy.

Punch

POCZĄTKI ŁODZI AKADEMICKIEJ

ROZMOWA z prof. dr Januszem GROSZKOWSKIM

Nim prawnie usankcjonowano istnienie na terenie naszego miasta wyższych uczelni (Dziennik Ustaw nr 21, z dn. 25 maja 1945 r.) i oficjalnie ustanowiono władze Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu, zajęcia mimo prymitywnych warunków już się odbywały. Jednego spośród pierwszych wykładowców Politechniki Łódzkiej powołanych owym Dziennikiem Ustaw dziś po dziewiętnastu latach, spotkałem na dwudziestym szóstym piętrze warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki. Tutaj bowiem pracuje ówczesny dziekan Politechniki Łódzkiej, prof. dr Janusz Groszkowski, dzisiejszy prezes Polskiej Akademii Nauk. Nasza rozmowa dotyczy — jak nietrudno się domyślić — tamtych dni.

To był okres, kiedy Warszawa była bardzo zniszczona. Powstał wtedy pomysł, ażeby zaniechać w ogóle uruchamiania Politechniki w Warszawie, natomiast wszystko przenieść do Łodzi. Było wielu profesorów, którzy zwątpili w możliwość uruchomienia tutaj uczelni. Przenieśli się więc — słusznie, ażeby zacząć jakąś akcję — do Łodzi. Ja natomiast i niektórzy moi koledzy z różnych wydziałów pozostaliśmy tutaj, wzięliśmy się do roboty no i dosyć szybko uruchomiliśmy Politechnikę Warszawską. Niemniej staraliśmy się pomóc kolegom z Łodzi, żeby chociaż w tamtym środowisku już coś się robiło z zakresu szkolnictwa politechnicznego. Przez kilka miesięcy dojeżdżałem do Łodzi i tam prowadziłem wykłady na Wydziale Elektrycznym z mojej dziedziny — podstaw radiotechniki i z lamp elektronowych. Pamiętam, że czasami pozostawałem w Łodzi na kilka dni. Pierwsze wykłady miałem na Wodnym Rynku — tak to się bodajże nazywało — w jakichś budynkach pofabrycznych. Było tam również urządzone coś w rodzaju hotelu, a raczej pokoi gościnnych dla profesorów. Właśnie tam nocowałem niejednokrotnie z profesorem Achmatowiczem, późniejszym wiceministrem szkolnictwa, który w Łodzi prowadził wykłady z chemii. Dojeżdżał również prof. Sołtan, fizyk... z matematyków prof. Pogorzelski. Dojazd odbywał się różnymi sposobami — pociągiem, samochodem, który był nam oddany do dyspozycji. Pamiętam, ten wielki zapał jaki panował wśród profesorów, którzy organizowali uczelnię. Widziałem jak w ciągu kilku miesięcy rozwijała się z rozmachem, jak przybywały uczelni nowe pomieszczenia, wykańczano zniszczone, inne adaptowano, jak młodzi inżynierowie, rodzaj asystentów, przygotowywali laboratoria, urządzali odpowiednie sale do ćwiczeń i te ćwiczenia prowadzili. Zrozumiałem wtedy, że tam musi powstać Politechnika — zresztą tak jak i Uniwersytet, który równolegle organizowano — że to jest środowisko, które zasługuje na tę uczelnię, taką uczelnię, uczelnię techniczną. Tak, to była wielka rola prof. Stefanowskiego, pierwszego rektora Politechniki, który z całym zapałem i zdolnościami organizatorskimi służył tej uczelni. Jego osoba w dużym stopniu przyciągała wielu profesorów do Łodzi.

Szereg osób mieszkało tam na stałe. W dużym stopniu decydowały też i względy mieszkaniowe. Ci koledzy, którzy nie mieli w Warszawie mieszkania chętniej zatrzymywali się w Łodzi, żeby ten pierwszy okres przetrwać. Ja jakoś ulokowałem się wtedy w Warszawie po tułaczce popowstaniowej więc może to także w dużym stopniu zaciążyło, że już w roku 1946 zerwałem z Politechniką Łódzką. Obowiązki w Warszawie nie pozwalały mi na dalsze kontynuowanie zajęć w Łodzi.

Wydaje mi się, że jeżeli chodzi o tworzenie uczelni technicznej w Łodzi, to warunki były łatwiejsze. Łódź była już środowiskiem technicznym, prawda, nawet przed wojną miała pewne kierunki mechaniki, nie mówiąc już o włókienniczym, przemyśle maszynowym czy elektrotechnicznym. Więc to środowisko było całkowicie zdolne do tworzenia uczelni. Ja wierzyłem, że będzie bardzo szybko uruchomiona Politechnika i że da doskonałe wyniki. Oczywiście, z Uniwersytetem było trudniej, chociaż Łódź była tym siedliskiem intelektualnym i kulturalnym. Tam przecież powstawały wydawnictwa, filmy, teatr przecież rozpoczynał tam swoją bogatą działalność, więc to pomagało i Uniwersytetowi. Zresztą do Łodzi przeszli doskonali profesorowie, jak prof. Kotarbiński czy Chałasiński, którzy poświęcili bardzo dużo energii na stworzenie w tym wdzięcznym środowisku ośrodków kulturalnych. Start był więc doskonały, najlepszy dowód, że obecne wyniki są dobre.

W jakich warunkach materialnych powstawała uczelnia? Jeżeli chodzi o pomieszczenia, dostosowywano różne pofabryczne budynki, ale to było stosunkowo może najłatwiejsze, trudniej było natomiast z pewną aparaturą, z wyposażeniem laboratoriów. Przedmioty specjalistyczne, te miały może mniej trudności dlatego, że na tych wydziałach politechnicznych pewien sprzęt, maszyny, urządzenia brało się wprost z życia. Przecież bardzo dużo było tzw. demobilu, sprzętu i materiału wojskowego. Wiem, że koledzy z tego materiału budowali bardzo dużo sprzętu. Dla Wydziału Elektrycznego np. w niedługim czasie przygotowano podstawowe urządzenia i oddano do dyspozycji, nawet i przyrządy dla laboratoriów pomiarowych. Z pewnością trudniej było z wydziałami uniwersyteckimi. Uruchomienie np. laboratoriów fizycznych czy biologicznych wymagało już trochę aparatury, której się na tamtym terenie nie spotykało. Tak więc myślę, że uczelnia techniczna miała trochę ułatwione zadanie. Poza tym w Łodzi w tych latach był przecież skoncentrowany ośrodek przemysłowy, tam siedzieli delegaci rządowi ciężkiego przemysłu, którzy bardzo dużo pomogli w inwestowaniu potrzeb politechnicznych, obecny minister szkolnictwa minister Gołański, był wówczas pełnomocnikiem rządu na terenie Łodzi do spraw przemysłu i on na przykład bardzo wiele pomagał. Jego stosunek był zawsze jak najbardziej życzliwy do szkolnictwa, zwłaszcza do szkolnictwa technicznego w owym czasie.

Jaki był klimat tamtych czasów? Hm, hm — to był klimat jak na jakimś pobojowisku, wszystko przerabiano i przebudowywano, słowem wszystko inaczej wyglądało niż tu, u nas, w Warszawie. Tutaj wyciągaliśmy wszystko z gruzów, a tam trzeba było wszystko dostosować i przebudować. No, oczywiście w takich okresach jest wielki zapał do pracy i zupełnie inny nastrój, czego w normalnych warunkach pokojowych nie ma. To jest tak, jak jakaś, no powiedzmy wielka akcja, kolonizacja pewnego rodzaju, gdzie się ludzie zupełnie nie liczą z czasem, z wysiłkiem. Każde warunki egzystencji, mieszkania, są dobre, nie ma problemu, że ktoś tam ma lepiej, ja gorzej, odpadają te wszystkie momenty, które są w normalnych warunkach pokojowych. Był to okres co prawda zakończonej wojny, ale rozpoczętej o odbudowę kraju, wszyscy o to walczyli i wówczas inna moralność obowiązywała. Tam nie było zagadnienia — ja mam więcej, ty masz mniej. Wszystko było wspólnie dzielone i nikt nikomu nie zazdrościł. Nikt nie myślał o wysokim uposażeniu.

Dzisiaj to wszystko inaczej wygląda. Jest to charakterystyczne dla stabilizacji czasów — drobne rzeczy zaczynają odgrywać rolę. Tam odgrywały tylko te wielkie.

MARIAN ZDROJEWSKI

JERZY RADEK

SZATA ZDOBI CZŁOWIEKA

Ta postać taka jakaś dziwna, przypomina rysunek w żurnalu, ale brakuje szczegółów, została sama sylwetka. Nie żurnał zresztą oglądam. Leży przede mną biuletyn Podkomisji Mody. Diablo urzędowo brzmi jego tytuł, a okładka roi się od nazw Bardzo Ważnych Instytucji. Nie było kto interesuje się naszymi spodniami, zanim je po raz pierwszy włożymy. Mówię tu o spodniach, gdyż my mężczyźni jesteśmy mniej czuli na wahania mody, częściej nosimy gotową odzież konfekcyjną. Panie znacznie bardziej pasjonuje moda ekskluzywna, zrodzona gdzieś w paryskich salonach i dziarsko w „krótkich seriach", oczywiście dostosowanych do krajowych potrzeb, przeniesiona przez „Telimenę" lub „Modę Polską" na wieszaki reprezentacyjnych sklepów. Bo z ubraniami to trochę tak, jak z warzywami. Najpierw na rynku pojawiają się nowalijki, drogie i nie do wszystkiego przydatne, później dopiero jarzyny dojrzewają, tanieją, zalegają sklepy i stoiska, stają się artykułem powszechnego użytku. Podobnie istnieją dwie mody, pierwsza złożona z „nowalijek" i druga, przemysłowa, operująca stonowanymi elementami pierwszej. Mało o niej wiemy.

Dlatego postanowiłem ustalić rodowód własnych spodni. Zaprowadziły mnie do Centralnego Laboratorium Przemysłu Odzieżowego. Wszedłem do gabinetu dyrektora, inż. Jana Badeńskiego przeświadczony, że trafiłem tam, gdzie powstaje moda. W każdym razie chociaż ta na co dzień. A tymczasem ledwie nadążyłem notować ile to wysokich czynników decyduje o naszym wyglądzie.

Przy Ministerstwie Przemysłu Lekkiego i Ministerstwie Handlu działa Komisja do Spraw Koordynacji i Programowania Mody. Podlegają jej podkomisje: Mody, Tkanin (specjalna dla każdego niemal rodzaju), Obuwia, Odzieży wreszcie. Praca zaczyna się „na szczeblu" Podkomisji Mody. Do niej trafiają wieści z tak zwanego świata, rozmaite materiały, nad którymi co sezon biedzi się Centralne Biuro Wzornictwa, aby pod szyldem podkomisji wydać biuletyn. Nie ma w tym biuletynie modeli, są za to wytyczne, ogólne założenia, syntetycznie potraktowane sylwetki właściwie ubranych ludzi. Od stóp do głów, z publikacji bowiem korzystać będą podkomisje pozostałe. Nasze laboratorium, które niepomny organizacyjnych talentów rodaków posądziłem o całkowicie samodzielne działanie, przygotowuje biuletyn resortowy, dotyczący wyłącznie odzieży i drukowany jako organ odpowiedniej podkomisji. Odtąd zaczyna się realna robota, czyli szykowanie kolekcji ilustrujących.

W tłumaczeniu na język potoczny oznacza to uszycie iluś tam modeli z modnych akurat tkanin, przy czym stroje te są dość proste w kształcie i pozwalają zatrudnionym w poszczególnych fabrykach plastykom zorientować się, jakich to zasad ogólnych należy się trzymać. Ci plastycy zdecydują o ostatecznym kształcie wyrobów. Ilustrująca kolekcja obejmuje około sześćdziesięciu modeli, bo musi uwzględniać sylwetki „nietypowe". Dwie kolekcje rocznie wędrują na giełdę w Poznaniu. Sporo roboty. Tym bardziej że Centralne Laboratorium przygotowuje również kolekcje eksportowe, następnie dla zademonstrowania nowych tkanin, no i na narady stałej grupy roboczej do spraw kultury odzieży w RWPG.

Poprzedni „kongres mody" RWPG odbył się w Warszawie, teraz odzieżowców gościć ma Moskwa. Wymieniają pełne dokumentacje, z próbkami tkanin nawet, mają możność porównania, widzą co kto na cały rok lansuje. Jednocześnie zaś wymiana doświadczeń pozwala lepiej dostosować produkcję do społecznych potrzeb. Tak na przykład wiadomo, że rozwój mody męskiej idzie w kierunku eliminowania wszelakich „pancerzy", że latem „solidne" materiały zostaną wyparte przez tropiki lekkie i miękkie, że wreszcie gdzie się da odrzucać trzeba zbyteczne dodatki, choćby w szytych bez podszewek marynarkach. Praktyczne, wygodne.

Przygotowanie kolekcji to rzecz bynajmniej nieprosta. Oparte na naukowych pomiarach antropometrycznych przeprowadzonych niedawno przez Polską Akademię Nauk ubrania (rozmalcie zmieniają się nasze urocze skądinąd sylwetki, przemysł odzieżowy znać musi najczęściej występujące wymiary, żeby naprawdę właściwie zaopatrywać rynek) opracowuje zespół konstruktorów odzieży. Okazuje się, że i taki zawód istnieje. Skrupulatnie obliczają, jak i z czego wykonać. Wszelkie sprawy wytrzymałości tkanin bada Instytut Włókiennictwa, bratnia instancja od włókien i tkanin, której komórką było niegdyś Centralne Laboratorium, nim wkroczyło na własne szlaki. Ale przecież prócz tkanin na ubranie składają się rozliczne dodatki. Ot, choćby podszewka. Bardzo często musimy oddać garnitur do pralni, gdyż zabrudziła się podszewka, choć tkanina jest zupełnie czysta. Nieodpowiednia nitka użyta do ełany zniekształci nam po zwilgotnieniu najpiękniejsze ubranie, podobnie włosianka. Albo wycieranie się wskutek noszenia — podszewki narażonej na ciągłe załamywanie, uparcie tartej o koszulę czy sweter, spodni narażonych na kontakt z krzesłami, marynarki lub wdzianka o brzeg stołu. Mnóstwo czynników, których nikt nie potrafi dokładnie przewidzieć. Dlatego Laboratorium dysponuje sztabem „użytkowników". Dostaje taki pan albo pani odpowiedni „ciuch", do niego książeczkę do notowania, podpisuje zobowiązanie i co określony czas przychodzi na rozmowę i badania. Z wyników skorzysta przemysł odzieżowy. Zasadnicza rola placówki polega przecież na współpracy ze Zjednoczeniem Przemysłu Odzieżowego.

Osobna komórka zajmuje się technologią i organizacją produkcji, inna znowu ekonomiką i organizacją przedsiębiorstw. Tym pomaga psycholog Laboratorium, mgr Sławomir Cieślikowski. Przeprowadza teraz dla przemysłu odzieżowego badania zawodów zatrudnionych w nim ludzi. Trafna droga do zwiększenia wydajności, zmierzająca jednocześnie ku realizacji szczytnej, jakże przeważnie niedocenianej zasady „właściwy człowiek na właściwym stanowisku". Szeroka jest funkcja Laboratorium.

A obok — działy mniejsze, interesujące się wycinkowymi niejako problemami. Równie zresztą ważnymi. Choćby pracownia chemizacji. Tu narodziła się metoda klejenia zamiast szycia niektórych elementów, skracająca czas i wcale niegorsza, a w stadium eksperymentów powstaje polski klej spajający tkaninę z krzykiem mody. Tak, krzykiem elegancji jest dziś pianka poliuretanowa na tkaninie, czyli laminat. Wyniki prac inż. Rawińskiej i inż. Switkowskiej prowadzonych pod kierunkiem dr Więzlaka wskazują, że lada tydzień przestaniemy importować cenny surowiec.

Moda sięga i do strojów ochronnych. Widziałem nowe ubranie dla zatrudnionych w chłodniach. Oczywiście laminat, lekki, ciepły, mocny i higieniczny. Dzieło zapaleńców z pracowni odzieży roboczej.

Wyszedłem nieco oszołomiony. Kto by to pomyślał, na jakich wysokich szczeblach postanowiono, że będę nosił spodnie bez mankietów!

Fraszki jana Czarnego

NIECHAJ

Niechaj w pamięci nie grzebie,
kto nie jest pewien siebie.

WYBÓR

Spytano mnie co wolę:
czy maskę, czy napis na czole?

LUIGI PIRANDELLO

Amfora

dalszy ciąg ze str. 1

wie i policzkach, tupał nogami i lamentował, jak ludzie, którzy opłakują zmarłego krewnego:

— Nowa amfora! Za cztery uncje! Jeszcze nie używana!

Chciał się dowiedzieć, kto ją stłukł. A może sama się stłukła? Przecież ktoś musiał ją stłuc, z podłości lub z zawiści! Ale kiedy? I jak? Nie widać było nawet śladu gwałtu! Może przybyła pęknięta już z fabryki? Gdzież tam! Przecież dźwięczała jak dzwon!

Gdy chłopi zauważyli, że pierwszy gniew już minął, zaczęli go namawiać, żeby się uspokoił. Przecież nie pękła w zły sposób. Tylko jeden kawałek. Dobry fachowiec naprawi ją tak, że będzie jak nowa. Właśnie Zi' Dima Licassi wynalazł jakiś cudowny klej, którego tajemnicy skrzętnie strzeże. Taki klej, że nawet młotkiem nie rozdzielisz tego, co złączył. Jeśli więc don Lollo chce, jutro zaraz o świcie Zi' Dima Licassi może przyjść i w trzy pacierze amfora będzie lepsza niż przedtem!

Słuchając tych rad don Lollo mówił, że nie. To niepotrzebne, nie ma już rady. W końcu jednak dał się przekonać i nazajutrz dokładnie o świcie zjawił się w Primosole Zi' Dima Licassi z koszykiem narzędzi na plecach.

Był to staruszek zgięty w czworo, o członkach powykrzywianych i sękatych jak stary pień saraceńskiej oliwki. Strasznie ciężko było wyciągnąć z jego ust choćby tylko jedno słowo. Posępność, a może tylko smutek wycisnęły swe piętno na jego zdeformowanym ciele. Powodem ich była niewiara, aby ktokolwiek mógł pojąć i właściwie ocenić jego zasługi wynalazcy jeszcze bez patentu. Zi' Dima Licassi chciał, by mówiły fakty. Musiał zresztą baczyć na to, żeby mu ktoś nie ukradł tajemnicy.

— Pokażcie no ten klajster — powiedział na samym wstępie don Lollo zmierzywszy go nieufnym spojrzeniem z dołu do góry.

Zi' Dima zaprzeczył pełnym godności ruchem głowy:

— Robota pokaże.

— Ale... Będzie dobrze?

Zi' Dima położył koszyk na ziemi, wydobył z niego sfatygowaną i poskręcaną czerwoną bawełnianą chusteczkę. Rozwinął ją, wyjął z niej w religijnym skupieniu okulary, których mostek i pałąki, połamane, owinięte były szpagatem. Oczyścił palce zanim ujął okulary, które nasadził na nos. Potem z wielką powagą zabrał się do egzaminowania wyniesionej na klepisko amfory. Rzekł:

— Dobrze.

— Ale do samego sklejenia — zaczął układać warunki Zirafa — nie mam zaufania. Chcę także zszycia.

— No to idę sobie — odpowiedział z miejsca Zi'Dima, zakładając koszyk na plecy.

Don Lollo schwycił go za ramię.

— Gdzie znów? To tak, świńska dupo? Patrzcie — no, wielkopańskie fumy! Nędzny dziadu, ośle skończony, warto by cię napoić oliwą, żebyś wziął na poty! Taką milową szparę tylko klejem? Chcę szycia! Ja tu rozkazuję!

Zi' Dima przymknął oczy, zacisnął wargi, pokiwał głową. Wszyscy jednacy! Nie pozwala mu się wykonać solidnie, zgodnie z zasadami sztuki jego czystej roboty. Nie może udowodnić, że cudowne właściwości posiada jego klej.

— Jeśli amfora — powiedział — nie zabrzmi znów jak dzwon...

— Nic mnie to nie obchodzi — przerwał mu don Lollo — Szycie! Płacę za klejenie i za zszycie. Ile będzie się wam należało?

— Jeśli tylko klejenie...

— Do diaska! Co za uparciuch! — wykrzyknął Zirafa — Jak do was przemówić? Powiedziałem raz, że chcę zszycia. Dogadamy się po skończonej robocie. Nie mam czasu do stracenia.

I poszedł doglądać ludzi.

Zi' Dima zabrał się do roboty, nadęty złością i pogardą. Ta złość z pogardą rosła w nim z każdym otworem, jaki świdrował w amforze i w oderwanym kawałku, po to, aby móc przewlec przez nie żelazny drut. Obrotom wiertła towarzyszyły pochrząkiwania, coraz częstsze i silniejsze, a twarz jego coraz bardziej zieleniała z powodu żółci, oczy zaś zaostrzały się i płonęły gniewem. Ukończywszy pierwszą manipulację z wściekłością cisnął świder do koszyka, przyłożył oderwany płat do amfory, aby sprawdzić, czy otwory są w równych odstępach i czy się pokrywają, potem obcęgami pociął drut na tyle kawałków, ile trzeba było założyć szwów i zawołał do pomocy jednego z chłopów zrywających oliwki.

— Nie bierzcie sobie tego do serca, Zi' Dima — powiedział chłop, widząc jego zmienioną twarz.

Zi' Dima uczynił ręką gest wściekłości. Otworzył blaszane pudełko z klejem i podniósł go do nieba, potrząsając, jakby na ofiarę Bogu, skoro ludzie nie chcieli uznać jego zalet. Potem zaczął palcem rozmazywać klej na oderwanym kawałku i wzdłuż pęknięcia. Wziął obcęgi, poprzednio przygotowane kawałki drutu i siadł sobie w otwartym brzuchu amfory, polecając chłopu, żeby przystawił oderwany kawałek w ten sposób w jaki on to przed chwilą uczynił. Zanim zabrał się do zakładania szwu rzekł z wnętrza amfory do chłopa:

— No, a teraz spróbuj oderwać, spróbuj... Z cały siły... Odrywa się? Niech pokręci tych, co nie wierzą! Uderz, uderz! Słyszysz jak dzwoni, nawet ze mną w środku. Idź, powiedz to swojemu panu.

— Kto na wozie, ten pogania, Zi' Dima — westchnął chłop — nasza rzecz słuchać i nie gadać. Zakładajcie lepiej szwy.

Zi' Dima zabrał się do przewlekania kawałków żelaznego drutu przez dwa otwory po obu stronach pęknięcia, potem zaś obcęgami skręcał oba końce. Na wykonanie tej pracy potrzebował około godziny czasu. Pot lał się z niego strumieniami. Pracując w amforze skarżył się po cichu na zły los. A chłop z zewnątrz go pocieszał.

— Pomóżcie mi teraz wyjść — powiedział w końcu Zi' Dima.

Lecz amfora, choć bardzo brzuchata, miała wąską szyję. Rozgniewany Zi' Dima nie zwrócił na to uwagi. Teraz próbuje wydostać się na różne sposoby, ale bez wyniku. Chłop natomiast — zamiast mu pomóc — pokłada się ze śmiechu. Okazało się, że jest uwięziony w naprawionej przez siebie amforze. Nie ma teraz innego wyjścia: jeśli ma się z niej wydostać, trzeba ją znowu rozbić, tym razem na zawsze...

Usłyszawszy śmiech i krzyki nadszedł don Lollo. Zi' Dima zachowywał się w amforze jak dziki kot.

— Dajcie mi wyjść — wył — Taka wasza...! Chcę zaraz wyjść. Pomóżcie mi!

W pierwszej chwili don Lollo zaniemówił, jakby weń piorun strzelił. Nie wierzył.

— Co? Tam, w amforze? Zaszył sam siebie?

Podszedł i krzyknął do starego:

— Pomocy? Jakiej pomocy mogę wam udzielić, stary idioto? Nie trzeba to było najpierw przymierzyć? No, spróbujcie, wyciągnijcie ramię... Tak, a teraz głowa, tak... nie... łagodnie! Co znowu? Poczekajcie... Nie tak. Do góry, do góry... Jak wy to robicie? A co z amforą? Spokojnie, spokojnie! — zalecał wszystkim, jakby utrata spokoju groziła właśnie im a nie jemu — W głowie mi się kręci! Spokojnie! To coś nowego... Siodłajcie muła!

Knykciami palców zapukał w amforę. Zadźwięczała jak prawdziwy dzwon.

— Pięknie. Dobrze naprawiona... Poczekajcie! — rzekł do uwięzionego — Prędzej, siodłajcie muła! — rozkazał chłopu i drapiąc czoło wszystkimi palcami ciągnął sam do siebie:

— Już, już coś mi przychodzi na myśl. To nie jest amfora, tylko diabelski instrument. Ustatkujcie się, ustatkujcie się tam!

I podbiegł, aby podeprzeć amforę, w której rozwścieczony Zi' Dima rzucał się jak dziki zwierz w klatce.

— Nowy przypadek, nowy przypadek, który adwokat musi rozstrzygnąć. Ja sobie nie ufam! Muła, muła! Zaraz wracam, miejcie trochę cierpliwości! We własnym interesie... Przede wszystkim spokój, nie rzucać się! Zastrzegam sobie... A nade wszystko, w obronie swoich praw, spełniam swój obowiązek. Oto — płacę wam za wykonaną pracę, płacę za dniówkę. Pięć lirów. Wystarczy?

— Niczego nie chcę! — krzyczał Zi' Dima — chcę wyjść!

— Wyjdziecie. A ja tymczasem wam płacę. Oto pięć lirów.

Wyjął je z kieszonki kamizelki i wrzucił do amfory. Potem troskliwie spytał:

— Jedliście drugie śniadanie? Natychmiast dać mu chleba z przekąską! Nie chcecie? Rzucić psom! Wystarczy, że wam dawałem.

Kazał podprowadzić muła, usiadł w siodle i truchtem przeleciał przez miasteczko. Każdy, kto go widział, myślał że gna, aby samego siebie zamknąć w domu wariatów, tak bardzo i tak dziwnie bowiem gestykulował.

Na szczęście nie musiał czekać w przedpokoju adwokata, musiała natomiast minąć dobra chwila zanim ten przestał się śmiać, dowiedziawszy się w czym rzecz. Rozgniewał go ten śmiech.

— Co tu śmiech ma do rzeczy, z przeproszeniem? Pana to nie boli, amfora jest moja.

Adwokat jednak nadal się zaśmiewał i chciał, aby mu raz jeszcze opowiedział przebieg całego wydarzenia po to, aby raz jeszcze wybuchnąć śmiechem. Co w środku? Zaszył sam siebie w amforze? A czego pan sobie życzy, don Lollo? Trzy... trzy... trzymać go tam? Ha, ha, ha... Trzymać go tam, żeby nie stracić amfory?

— Miałbym ją stracić? — spytał Zirafa i zacisnął pięści. — Czyż to nie strata i wstyd?

— Ależ, czy nie wie pan, jak to się nazywa? — odpowiedział adwokat — To jest sekwestracja osoby.

— Sekwestracja? Któż go zasekwestrował? — zawołał Zirafa — Sam siebie zasekwestrował! Jaka moja w tym wszystkim wina?

Adwokat wyjaśnił mu wówczas, że istnieją dwie możliwości. Z jednej strony on, don Lollo, powinien natychmiast uwolnić więźnia, żeby nie odpowiadać z powodu sekwestracji osoby, z drugiej zaś strony garncarz powinien ponieść odpowiedzialność za szkodę, jaką spowodował swoją nieudolnością, względnie swoją nieuwagą.

— Ach — zasapał Zirafa — Niech mi zapłaci za amforę!

— Chwileczkę — zauważył adwokat — Ale nie za nową.

— Dlaczego?

— Przecież była stłuczona!

— O nie, proszę pana! Teraz jest w porządku, on sam tak twierdzi. Jeśli jednak zostanie rozbita — nie da się już naprawić. Wtedy będzie stracona, panie mecenasie.

Adwokat zapewnił go, że powinien wziąć to pod uwagę, każąc zapłacić sobie za amforę w takim stanie, w jakim jest obecnie.

— A najlepiej — poradził mu — niech ją sam oszacuje.

— Całuję rączki — powiedział don Lollo, śpiesznie się oddalając.

Gdy pod wieczór wrócił, zastał wszystkich chłopów świętujących wokół zamieszkałej amfory. W zabawie brał udział również pies łańcuchowy. Zi' Dima uspokoił się a nawet zasmakował w swej dziwnej przygodzie: śmiał się złym śmiechem ludzi smutnych.

Zirafa odsunął wszystkich i wspiął się na palce, aby spojrzeć do środka amfory:

— No jak, dobrze się czujecie?

— Świetnie! Przyjemnie! — odpowiedział Zi' Dima — Lepiej niż we własnym domu.

— Bardzo mi miło. Ostrzegam was jednak, że ta amfora kosztowała mnie jako nowa cztery uncje. Jak sądzicie — jaką wartość ma obecnie?

— Razem ze mną? — spytał Zi' Dima. Chłopi roześmieli się.

— Cisza! — wrzasnął Zirafa — Jedno z dwojga: albo wasz klej jest do czegoś, albo nie. Jeśli jest bez wartości — oszust z was! Jeśli zaś klej jest dobry to i amfora posiada swoją wartość. Jaką wartość? Sami ją określcie.

Zi' Dima zastanowił się chwilę, potem rzekł:

— Dobrze, gdyby pan kazał mi ją tylko skleić, jak chciałem, po pierwsze nie znalazłbym się tu, amfora zaś miałaby przynajmniej taką samą wartość co i przedtem. Teraz jednak, oszpecona szwami, które z konieczności musiałem zrobić w środku, jaką wartość może przedstawiać?... Chyba jedną trzecią poprzedniej.

— Jedną trzecią? — spytał Zirafa — Uncję i 33 soldy?

— Może mniej, na pewno nie więcej.

— Dobrze — rzekł don Lollo — Słowo się rzekło, dajcie mi uncję i 33 soldy.

— Co? — powiedział Zi' Dima, jakby nie zrozumiał jego słów.

— Stłukę amforę, żebyś mógł wyjść — odparł don Lollo — ty zaś, jak mówi adwokat, zwrócisz mi jej wartość czyli uncję i 33 soldy.

— Ja mam płacić? — wybuchnął śmiechem Zi' Dima — Łaskawy pan żartuje. Dobrze mi tu, jak u Pana Boga za piecem.

I wyciągnąwszy z kieszeni — kosztowało go to nieco trudu — rzeźbioną fajeczkę, zapalił, wydmuchując dym przez szyję amfory.

Don Lollo zbaraniał. Tego przypadku, że Zi' Dima nie zechce w ogóle wyjść z amfory nie przewidział ani on, ani jego adwokat. Co teraz postanowić? Już miał wydać polecenie „Siodłać muła!", ale pomyślał sobie, że lada chwila zapadnie noc.

— Ach tak — rzekł — chcesz sobie zamieszkać w mojej amforze? Biorę was wszystkich za świadków! Nie chce wyjść żeby nie zapłacić. Ja jestem gotów ją rozbić! Skoro jednak on chce tam zostać jutro wnoszę pozew, oskarżając go o nadużycie zamieszkania, ponieważ w ten sposób przeszkadza mi w użytkowaniu amfory.

Zi' Dima pyknął najpierw nowy kłąb dymu, potem odparł spokojnie:

— Nie, proszę pana. Wcale panu nie przeszkadzam. Może jestem tu dla własnej przyjemności? Niech mi pan umożliwi wyjście — o zapłaceniu jednak mowy nawet nie ma! Nawet żartem, łaskawy panie!

Don Lollo w ataku złości już podniósł nogę, aby kopnąć amforę, powstrzymał się jednak. Ujął ją obiema rękami i potrząsnął, dygocąc na całym ciele.

— Widzi pan, jak mój klej trzyma? — powiedział Zi' Dima.

— Łotrze spod ciemnej gwiazdy! — ryknął wówczas Zirafa — Kto jest winowajcą? Ja czy ty? Więc ja mam zapłacić? Zdychaj sobie tam z głodu. Zobaczymy, kto wygra.

I poszedł, nie pomyślawszy o pięciu lirach, które mu wrzucił uprzednio do amfory. Zi' Dima postanowił za nie przede wszystkim wyprawić ucztę chłopom, którzy z powodu dziwnych wydarzeń owego wieczoru dali się zaskoczyć nocy i mieli ją spędzić na dworze, pod otwartym niebem, na klepisku. Jeden z nich poszedł po zakupy do pobliskiej tawerny. Księżyc świecił jasno i wydawało się, że wróci dzień.

W pewnej chwili don Lollo, który poszedł już spać, obudzony został przez potworny zgiełk. Wyszedł więc na balkon i zobaczył na klepisku, w świetle księżyca, stado diabłów, pijanych chłopów, którzy ująwszy się za ręce tańczyli wokół amfory. W jej wnętrzu Zi' Dima śpiewał na całe gardło.

Tym razem don Lollo nie potrafił się już opanować. Podbiegł jak rozjuszony byk i zanim go można było powstrzymać, jednym ciosem powalił amforę na ziemię. Tocząc się, przy akompaniamencie śmiechu pijanych, amfora rozbiła się o pień oliwki.

Zwyciężył więc Zi' Dima.

Tłumaczył z włoskiego

EDWARD MARTUSZEWSKI

Ilustrowała: Magda Kapuścińska

Telewidzowie mają głos

KRYSTYNA WOJTASIK

Jest ich 22. Chętnie odpowiadają na pytania naszej ankiety, wyrażając przy tym nadzieję, że to co mówią, czego żądają, co proponują może mieć jakikolwiek wpływ na system pracy TV. Ta wiara nam również nie jest obca ale nas, w tym miejscu, przyznajmy się, interesują właśnie oni, telewidzowie, a nie telewizja jako taka. A więc telewidzowie mają głos:

ŻONA DYREKTORA TEATRU (sama pracownik teatralny).

— Moje ulubione audycje? Nie mam takich. Zbyt rzadko posiadam możność patrzenia na mały ekran. Ale jeśli już znajdę na to czas, najchętniej oglądam spektakle Teatru TV, filmy i znakomity „Dziennik" oraz kroniki filmowe. Nie znoszę natomiast telewizyjnych programów rozrywkowych, bywają idiotyczne, również te nadawane w ramach interwizji.

Spośród sztuk Teatru TV zapamiętałam „Urząd" Brezy. Teatr telewizyjny nie jest w stanie zastąpić teatru „żywego", ale spełnia on użyteczną rolę, m. in. pokazując utwory nie grywane w Łodzi. W ogóle telewizor to rzecz pożyteczna, zwłaszcza w tych domach, gdzie są ludzie chorzy, lub „uwięzione" matki maleńkich dzieci.

KIEROWNIK BAZY TRANSPORTU —

— Nie mam telewizora, ale bardzo chciałbym mieć. Czasem oglądam filmy telewizyjne w świetlicy naszego osiedla, najchętniej „Robin Hooda". No i „Kobry" także.

PRACOWNIK „METALOPLASTYKI" (oddział grawerski)

— Lubię teleturnieje, bo kształcą. Powinno być więcej filmów, ale nie takich jak dotąd. „Lot" również do niczego. Sama gadanina. Audycje rozrywkowe często nieudane. Teatr TV? Nie mogę sobie przypomnieć żadnego tytułu sztuki...

Zgłaszają również chęć wypowiedzenia się KOLEDZY NASZEGO ROZMÓWCY:

— Lubię „Wielokropek". Należałoby go przedłużyć, za krótki. Chętnie oglądam filmy, a jeśli teatr — to komedie. Tylko komedie. Człowiek jest zmęczony, więc pragnie się pośmiać. Dlatego przydałoby się więcej programów rozrywkowych. Aktorzy? Mogę wymienić piosenkarki: Rylska, Santor, Bovery, Rolska.

— Za dużo audycji publicystycznych. Bardziej nadają się do radia, bo telewizja musi zadowolić oko i ucho jednocześnie. „LOT" — mówią i mówią, a nie ma żadnej akcji. Nędza! A ile to musiało kosztować. W ogóle z filmami w telewizji niedobrze. Teatr mnie interesuje, ale wciąż pokazują takie ponure sztuki. Powinno być więcej komedii i operetek. Nazwisk aktorów nie pamiętam, ani tytułu żadnej sztuki. Chciałbym zapytać, dlaczego telewizja nie transmituje „Podwieczorków przy mikrofonie"? Telewizor w domu bardzo potrzebny.

ZASTĘPCA DYREKTORA NACZELNEGO ZPB.

— Lubię audycje rozrywkowe, chociaż niektóre są niedobre. Jest ich za mało. Dobór filmów nie zawsze szczęśliwy. I zbyt często powtarza się te same pozycje, to trochę kpiny z widza. Ciekawa Wszechnica TV, ale za wiele w niej słowa mówionego, a za mało ilustracji. Teatr TV dobry — przykuwa uwagę. Nie opuszczam poniedziałkowych spektakli, ale tytułów sztuk nie pamiętam. Aktorzy — Hanuszkiewicz, Łapicki. W tygodniku „Radio i Telewizja" powinny ukazywać się objaśnienia do sztuk jeszcze przed ich nadawaniem, poważne zapowiedzi nie reklamiarskie. Natrętna i szumna reklama budzi nieufność, zwłaszcza od kiedy obejrzeliśmy „Lot". Tele-Echo też straciło inwencję. Może dałoby się je czymś zasilić? Chciałem zaproponować zwiększenie ilości wywiadów przeprowadzanych na żywo z ciekawymi ludźmi i na ciekawe tematy, tzw. tematy dnia, np. gospodarcze, polityczne.

STRAŻNIK PRZECIWPOŻAROWY w zakładach przemysłowych.

— Najbardziej lubię mecze bokserskie i teleturnieje. Film czasem trafi się dobry, kowbojski. Ale za mało w telewizji polskich filmów, naszych. Audycje rozrywkowe też „obce". Za mało w nich polskości, nie występują zespoły ludowe ani nasi harnamowcy. „Wesoły Autobus" i „Podwieczorki przy mikrofonie" powinny się znaleźć w telewizji. Na oglądanie teatru nie mam czasu...

I ty mi wmawiasz, że oni nie znali telewizji?

SEKRETARKA

— Nie mam telewizora, ale chodzę do znajomych na filmy. Na ogół są dobre. Czasem oglądam też program rozrywkowy i teleturnieje. Jakich pozycji brakuje w telewizji? Bo ja wiem... Może więcej filmów komediowych, żeby można się było pośmiać. Mam osiemnaście lat.

STUDENT UŁ

— Kabaret Starszych Panów to najlepsza audycja. I teleturnieje. Filmy rzadko oglądam, częściej sztuki. W naszym Domu Akademickim w każdy poniedziałek komplet widzów przed telewizorem. Teatr TV interesujący i nic nie kosztuje. Zapamiętałem „Urząd" Brezy. Aktorzy — Benoit, Voit, Jędrusik, Modrzyńska. Tych lubimy. Moje postulaty? Więcej publicystyki oczywiście ciekawszej niż dotąd, i więcej spektakli teatralnych, przede wszystkim o tematyce współczesnej. Telewizja udostępnia kulturę.

DZIAŁACZ SPORTOWY

Telewizor mam dopiero dwa miesiące. Podobają mi się teleturnieje, a nudzi mnie Wszechnica. Za często ją nadają, tak jak i publicystykę. Mało jest audycji rozrywkowych, powinno być więcej, przecież ludzie chcą przy telewizorach odpoczywać po pracy. „Kobrę" i filmy też chętnie oglądam, dobre są jakie są, byle były. Żadnego przedstawienia teatralnego w telewizji nie oglądałem, nie miałem czasu...

ŻONA ADWOKATA

— Nie mamy telewizora, telewizja nikogo z domowników nie interesuje.

STOLARZ

— Oglądam filmy, ale wolę sztuki teatralne. Bardzo podobał mi się „Cyd". Lubię Siemiona. Ale może poproszę córkę — ona będzie miała więcej do powiedzenia...

CÓRKA — SŁUCHACZKA TECHNIKUM DLA PRACUJĄCYCH

— W teatrze TV najbardziej interesujące są sztuki współczesne. Z ostatnich spektakli wyróżniam „Sławę i chwałę" Iwaszkiewicza. Nie rozumiem dlaczego przestał istnieć Łódzki Teatr Popularny. Lubię Mrozowską, Holoubka, Śląską. Publicystyczne audycje oglądam rzadko, częściej filmy chociaż ich dobór jest przypadkowy, a najczęściej doskonały Dziennik Telewizyjny.

ŻONA INŻYNIERA

— Moje ulubione audycje to Teatr TV, magazyn „Nie tylko dla pań" oraz Dziennik. Z ostatnich sztuk Teatru TV najbardziej podobała mi się „Szklana menażeria" Williamsa, ale rozumiem, że wobec różnorodności gustów odbiorców sztuki muszą być także różne. Teatr telewizyjny to jednak tylko namiastka. Wolę także iść do kina, niż oglądać filmy na małym ekranie, co do których miałabym dwa zastrzeżenia: za mało polskich, zbyt późna godzina wyświetlania.
Mogłoby być więcej audycji rozrywkowych.

MALARZ POKOJOWY

— Nie mamy telewizora, ale chcielibyśmy mieć. Uprzyjemnia życie.

KUPIEC

— Mam telewizor ale bardzo mało z niego korzystam. Trudno mi coś powiedzieć, raczej poproszę sąsiada, to zagorzały telewidz.

SĄSIAD — URZĘDNIK

— „Wielokropek", przede wszystkim „Wielokropek". To świetna audycja, tylko trwa za krótko. W ogóle warto by w telewizji rozbudować program satyryczny. Lubię też filmy seryjne, ale „Lot" nam się nie udał. Nie dostarczył rozrywki, nie zaciekawił. Co prawda byłoby gorzej, gdyby podzieli „Jasne łany" na odcinki... Teatr mnie interesuje, ale na teatr trzeba się nastawić. Zapamiętałem sztukę Ibsena — nie pamiętam tytułu. Lubię Dziewońskiego, — jest niezawodny. Podwieczorki przy mikrofonie powinny być nadawane przez telewizję.

URZĘDNICZKA

— Niestety, nie mamy telewizora. A bardzo pragniemy mieć.

POŁOŻNA

— Nie mam czasu na korzystanie z telewizora: praca, dzieci, gospodarstwo. Ciekawe wydają mi się audycje popularno-naukowe, zwłaszcza przyrodnicze. Ale naprawdę trudno mi jest cokolwiek powiedzieć.

ARCHITEKT

— Rzadko oglądam audycje telewizyjne, zbyt często są niepoważne. Za dużo w nich gadaniny, którą należałoby zlikwidować, zwłaszcza w publicystyce i dyskusjach. Bardziej nadają się do radia. Głównym zadaniem telewizji jest przecież oddziaływać optycznie. Najbardziej interesującą pozycją jest na pewno Teatr TV, choć nie może zastąpić żywego teatru. Zapamiętałem sztukę Dürrenmatta, a w ogóle głosuję za sztukami o tematyce współczesnej. Lubię audycje sportowe, mecze piłkarskie, których zresztą nigdy nie oglądam „w naturze". Filmy? Stare i nieciekawe, często o zużytej taśmie jak np. w „Krzyku". I dlaczego tyle razy się je powtarza?! Wolałbym mniej filmów, ale dobrych i nowych na zmianę z wartościowymi pozycjami archiwalnymi. Ogólnie odnoszę wrażenie, że program staje się coraz gorszy. Nie mam ulubionych postaci telewizyjnych. To tylko kwestia przyzwyczajenia.

DYREKTOR DUŻEGO PRZEDSIĘBIORSTWA.

— Tę muzę traktuję pobłażliwie. Gros programów — to „chała". Zwłaszcza rozrywkowych. Za dużo daje się sportu i kryminałów, dobór filmów zupełnie przypadkowy, forma i dawki publicystyki ciężkie do strawienia, ogólna drętwota. Jedyna godna uwagi pozycja to teatr.

REŻYSER FILMOWY (młody)

— Telewizora nie posiadam — podarowałem. Muszę przecież z czegoś żyć.

Ta ostatnia wypowiedź (czy dowcip) okazała się odosobnioną. I dlatego pozwalamy sobie ująć globalnie temat, którego dotyczy. Z wypowiedzi pozostałych 21 osób wynika, że telewizor przestał być osławionym złodziejem czasu. Telewidzowie dokonują wyboru audycji według własnych (jakich to już inna sprawa) zainteresowań. „Ja rządzę telewizorem, a nie telewizor mną" — mówią. „Jeśli audycja mi się nie podoba zamykam telewizor i słucham radia, albo robię coś innego" — dodają.

Tego rodzaju postawa jest na pewno sporym osiągnięciem w naszej krótkiej historii telewizyjnego odbioru. Świadczy o przeminięciu okresu neofickiego, bezkrytycznego entuzjazmu, czasów niemowlęctwa, zarówno telewidzów jak i telewizji. Z tym jednak, że telewidz wydoroślał, na swój sposób, szybciej niż telewizja, stał się krytyczny i wymagający. Jej daleko do doskonałości...

Inne wnioski, które można wysnuć na podstawie powyższego, z natury rzeczy ograniczonego, materiału, pozostawiamy spostrzegawczości Czytelników.

KOBIETA W ŚWIECIE MĘŻCZYZN

„Starożytni Germanowie wierzyli, że jest coś świętego w kobietach, wobec czego uznawali je za wyrocznie. Ich święte niewiasty wpatrywały się w wiry rzeczne i przysłuchiwały się szmerowi lub hukowi wód przepowiadając przyszłość z wyglądu i odgłosów wody. Często jednak cześć składaną przez mężczyzn posuwała się dalej i wówczas czciły swe niewiasty jako prawdziwe i żyjące boginie" — tak informuje nie byle jaki autorytet, bowiem sam Sir James George Frazer, autor wspaniałego studium pierwotnych mitów, wierzeń, kultów i religii zatytułowanego „Złota Gałąź".

Z „Końca Zgody Narodów" Teodora Parnickiego, znakomitego polskiego pisarza mieszkającego na stałe w Meksyku, wynika jasno, że Grecy w Królestwie Eutydemidów mieli prawo zostawiać nowonarodzone dziewczynki na bezludnej wyspie, aby tam zmarły z głodu. Orfeusz życie oddał Eurydyce, pragnąc ją wyprowadzić z głębin Tartaru; według istniejących dziś niektórych współczesnych religii prawowierny wyznawca, mężczyzna, ma obowiązek co wieczór dziękować swemu bogu, że się nie urodził kobietą...

Różny więc był — przez wieki — stosunek do kobiety i kobiecości. Raz była boginią — raz (co pamiętamy ze znanej i lubianej książki Pearl Buck „Ziemia Błogosławiona") — niewolnicą.

Czym jest dzisiaj? Jakie miejsce zajmuje w naszym świecie? Jaką pozycję zawodową, społeczną, obyczajową? Co jej wolno? Co zyskała — co straciła?

W tym miejscu zazwyczaj przytacza się stosy liczb, cyfr i danych, z których jasno wynika, że KOBIETA przeżyła w naszym kraju ogromny awans społeczny. Tyle a tyle kobiet zatrudniamy w gospodarce narodowej, tyle a tyle ukończyło studia, tyle a tyle pracuje na kierowniczych stanowiskach. Wszystko to prawda, wszystko to fakty, których nie można negować. Żadna sufrażystka nie musi organizować pochodu do parlamentu, aby walczyć o prawo głosu, żadna sawantka nie jest narażona na anatemę, bo studiuje medycynę.

Ale w wielu dziedzinach jest to — z takim trudem, przez całe wieki zdobywane równouprawnienie — równouprawnieniem tylko pozornym.

Kobieta nadal żyje w świecie mężczyzn.

Pewien mnich średniowieczny odprawił siedmiodniową pokutę, bo wyszedł do ogrodu i przypadkiem zobaczył tam KOBIETĘ — owo, jak sądził, „narzędzie szatana". Szwed, August Strinberg w 1888 roku napisał dramat „Panna Julia", którego bohaterkę sam określił jako „półkobietę, wroga mężczyzn".

Dziś, oczywiście, budzi to jedynie pobłażliwe uśmiechy. Termin „walka płci" dawno wyszedł z mody i, doprawdy, wcale nie mamy go zamiaru wyciągać z lamusa. „Walkę płci" zastąpiła ugoda — lecz na jakich warunkach?

Czy warunki te są korzystne dla kobiety? Czy gwarantują jej prawdziwe i równe prawa? Czy to jest tylko sprawa konwencji obyczajowych, warunków socjalnych, czy także kwestia... wychowania mężczyzn? Czy odmienna fizjologia ma wpływ na sprawy zawodowe i społeczne? Czy tę „różnicę" fizjologiczną, różnicę w konstrukcji organizmów mężczyzny i kobiety, należy uważać za przeszkodę w zrównaniu praw? Czy należy skutki owych różnic niwelować, czy też równouprawnienie nie może się dokonać mimo nich?

Jak wygląda prawda o pracy zawodowej kobiety? Ile z nich znajduje się faktycznie na odpowiedzialnych stanowiskach? Czy nie wpływa to niekorzystnie na ich życie rodzinne, na poczucie osobistego szczęścia? Jakie jest miejsce kobiety w dzisiejszym świecie? Kim winna być — współpartnerem mężczyzny w kształtowaniu świata, aktywistą zawodowym, społecznym — czy westalką domowego ogniska? Co ma przeważać — ambicje zawodowe, naukowe, artystyczne — czy przynależna jej, według tradycji rola matki, żony i gospodyni? Jak sobie radzi kobieta w dzisiejszej organizacji świata? Jakie ma szanse? W jakim stopniu dotyczy jej równouprawnienie obyczajowe? Czy owo równouprawnienie jest dla niej korzystne?

Co jej wolno? Co zyskała — co straciła?

Czy — pośród raf trudnego, współczesnego świata — pamięta o obowiązku dbania o swój wygląd, o rozwój ciała i ducha? Czy nie rezygnuje z KOBIECOŚCI — bądź czy nie godzi się z niższą pozycją zawodową, społeczną, obyczajową? Jak często sama jest winna — kiedy warunki są „przeciw niej"? Co można zmienić? Co poprawić?

Oto — najogólniej zasygnalizowane sprawy, które będą stanowiły temat niniejszej rubryki. Temat naszych felietonów o „kobiecie w świecie mężczyzn".

jazz

IV — OD NOWEGO ORLEANU DO WASZYNGTONU

Na przełomie XIX i XX wieku blues stał się ulubioną formą muzykowania. Znalazły w nim miejsce zarówno „rozgadane", improwizujące i prowadzące niekończący się dialog melodyczny instrumenty, jak i posiadający oparcie w potocznej mowie, a komentujący codzienne wydarzenia głos ludzki.

Typowy blues składa się z szeregu 12-taktowych zwrotek, podzielonych każda na 3 wiersze po 4 takty. Treść pierwszego wiersza zwrotki podkreślona jest niemal identycznym powtórzeniem w wierszu drugim — trzeci zaś zawiera pointę, rozwiązanie tematu. Oto oryginalny przykład:

„I'm goin'down and lay my head on the railroad track,
„I'm goin'down and lay my head on the railroad track,
When the train come along, I'm
gonna snatch it back".

„Pójdę na dworzec, dziecino,
i położę głowę na szynach,
Pójdę sobie na dworzec,
dziecino, i położę głowę
na szynach.
A gdy zobaczę, że pociąg
nadchodzi, oczywiście szybko
ją podniosę".

(L. Hughes — „Wielkie morze" — tłum. Juliusz Kydryński).

Znajduje tu miejsce rozwinięta zasada „call" (zawołanie — pierwsze dwa wiersze) i „response" (odzew — wiersz trzeci), pozwalająca, a nawet narzucająca wykonanie bluesa przez więcej niż jedną osobę. Jest także miejsce dla dialogu z instrumentem, który w takim układzie wypełnia po dwa końcowe takty każdej frazy.

Nic więc też dziwnego, że blues, który otwiera szerokie możliwości improwizowania zarówno tekstowego jak i melodycznego, a poza tym tkwi swą istotą i treścią w codziennym życiu, przeżywa okres burzliwego rozwoju. Roznoszą go po Południu wędrowni handlarze, zawodzą na brudnych ulicach Nowego Orleanu żebracy, skupiają przygodnych klientów w podłych knajpach czarni śpiewacy. W nostalgicznych melodiach skarżą się na wyzysk właściciela plantacji bawełny, prześladowania rasowe, tępotę policjanta, zdradę ukochanej kobiety, okrucieństwo więziennego strażnika. Tematy są ciągle te same, traktują o odwiecznym dla Murzyna problemie niesprawiedliwości. Zmieniają się teksty, melodie i wykonawcy. Każdy z tysięcy bezimiennych twórców, po których pamięć ludzka przekazała jedynie dźwięczne pseudonimy w rodzaju „Red Devil", czy „Honey Dripper" stwarza jednak coś nowego.

„...Jeśli ktokolwiek zapyta Cię
kto napisał tę pieśń,
Odpowiedz, że nie wiesz, ale
że „Ma" Rainier ją śpiewa..."

brzmi tekst wykonywany przez Gertrudę „Ma" Rainier w „Last Minute Blues".

W miarę ekspansji jazzu na północ, w miarę przenikania w inne środowiska, stykania się z inną rzeczywistością dyktowaną przez biegnący czas i nowe warunki społeczne blues staje się „...kroniką najważniejszych, dotyczących całej Ameryki wydarzeń..." (Leopold Tyrmand). W czasie pokoju komentuje strajk dokerów w Nowym Jorku, proces sądowy, bitwę gangsterów. W czasie wojny opiewa bohaterskie czyny marynarzy na Pacyfiku lub klęskę spadochroniarzy pod Arnheim. W dobie walki o integrację płynie nad głowami uczestników marszu na Waszyngton:

„...zanim zostanę niewolnikiem
— pójdę raczej do grobu.
Do Boga. I będę wolny..."

Taki jest blues — pieśń będąca zawsze pieśnią swoich czasów.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

STANISŁAW KASZYŃSKI

Kaprys czy prawidłowość?

Pomysł pewnego redaktora: urządzać w bombonierkowym interieur Teatru Nowego na pięterku seanse strip-teasowe, nie został, co łatwo sprawdzić, zrealizowany. Myśl ta, jakkolwiek by ją oceniać, wyrosła niewątpliwie z niezłego rozeznania sytuacji „na rynku" i poza komercjalną otoczką, miała uzasadnienie w potrzebkach i smaczkach pewnej części publiczności. Jesteśmy zbyt mądrzy i dalekowzroczni, by folgować podobnym zachciankom. Na chwałę miasta, w którym żyjemy wytrwale, Mała Sala zdołała sobie przyholubić interesujący zespół odbiorców i zanosi się, iż scenka przejmie z czasem funkcję sławnego ongi Teatru Kameralnego. Tymczasem odwija się tam niestrudzenie od kilku miesięcy „Całe życie" w żawieszonych wstydliwie okruszynach, w których p. Bohdana Majda ze swym partnerem ukazują z wdziękiem blaski i cienie matrymonialnej krzyżówki. Ku pokrzepieniu zapracowanego narodu.

Wychodząc od pikantnej substancji — zawsze od czegoś trzeba zacząć i nawet wielki Stendhal nie mógł ponoć postawić zdania, nie odbiwszy się pierwej od cudzej myśli — miałem na uwadze problem wcale poważny, szeroki i zawiły, bądaj czy do rozsupłania. Od lat zadaję sobie i innym pytania: co przesądza o powodzeniu sztuki, jakie postaci, tematy, zagadnienia, budzą zainteresowanie, przyjmowane są z aplauzem, a co lub kto „kładzie" bezapelacyjnie teatr?

W warunkach naszego teatru, hojnie subwencjonowanego przez państwo i uznającego w granicach rozsądku wymogi kasy, nie dostrzega się tak jaskrawo jak np. na Zachodzie mechanizmu klap i sukcesów. Sztuka zawsze dociąga do minimum 30 spektakli; minęły bezpowrotnie czasy, kiedy na trzecie przedstawienie przychodziła zaledwie garstka upartych. Mamy tu do czynienia niechybnie ze znaną wszędzie przewrotnością tej muzy, ale cecha ta jest tylko bardzo czułym wskaźnikiem przewrotności widowni. Na dobrą sprawę nikt jeszcze nie rozgryzł do kości jej natury i tak pozostaje to nadal dręczącą zagadką dla kierowników scen. Jako że nie dość jest znać szereg momentów, takich jak chwila historyczna, środowisko, dla którego pracuje teatr, czy aktualność lub moda na autora, wziętość aktora, popularność reżysera. Trzeba i uwzględnić w rachunku porę roku, współgrającą silniej, niż byliśmy skłonni sądzić, z „chadzaniem" na teatrum. I tak melodramaty są nieśmiertelne nie liczące się z klimatem, natomiast tragedie trzeba serwować jedynie w co chłodniejsze miesiące.

Po co ludzie przychodzą do teatru? Dejmek przed decyzją wystawienia „Barbary Radziwiłłówny" długo medytował, radził się doświadczeńszych teatralników, obwąchiwał i skrupulatnie ważył zwietrzały srodze i zleżały nabój. I gdy wystrzelił go z nowoczesnej wyrzutni trafił precyzyjnie w cel. Tego volltreffera nie da się całkowicie wyjaśnić. Co tu spowodowało rezonans? Chyba nie zachwyt i poczucie dumy z postawy mężów dawnej Rzeczpospolitej, i nie przepych kostiumów i wnętrz komnat wawelskich, i nie wiersz urokliwie wycyzelowany przez niespiesznego i rzetelnego pseudoklasyka. A może miłość Barbary, zmarnowana szansa wielkiej miłości? A może ludzie chodzą do teatru, aby wywołać w sobie, poprzez instynkt sprzeciwu wobec własnego życia, jakąś antyrzeczywistość, rzeczywistość świąteczną!? A może stale potrzebują odblasków czy powtórki własnej codzienności, z małą poprawką na miłość, na szczęście? I dlatego walą tłumnie na „Całe życie", jak przed paru laty na „Dwoje na huśtawce"? W tej potrzebie utożsamienia się upatruję sukces każdej poprawnie skomponowanej aktualności repertuarowej. O awangardach wszelkiej maści wolę na razie nie pisać.

Są wreszcie widzowie ciekawi zdarzeń i osobników egzotycznych, im sprawi satysfakcję autentyczna do przesady japońszczyzna „Kataki", gdzie p. Czesław Przybyła, Nippończyk doskonały, zapomniał doszczętnie polszczyzny.

Proszę darować bluźniercze zestawienie: moim zdaniem pewni klasycy i sztuczki z rozległą amplitudą drgań erotycznych będą jeszcze długo atrakcją dla szerokich kręgów. Ale nie prycham tu pochopnie a kysz! na erotyzm, bo nim stoi m. in. teatr, czy chcemy to uznać czy nie, ale — rezygnujemy z „szału ciał", czyli „Konduktora wagonów sypialnych", jakkolwiek bliźniaczo grzeszna „Dama od Maksyma" dostąpiła ostatnio rehabilitacji w TV. Klasycy, hm..

Poza Szekspirem, który się nie spodziewał, że czterysta lat po swojej śmierci uwolni dyrektorów teatrów od części udręk repertuarowych, więc poza wielkim Albionczykiem, jaki klasyk zapewni teatrowi tę liczbę widzów, bez której scena nie może istnieć? Tak, szereg nazwisk jest w dalszym ciągu żywych: Sofokles, Arystofanes, Lope de Vega, Schiller, Goethe, Gorki, Czechow, O'Neill, Pirandello. Zauważmy jednak, proszę, z punktu, że gra się ich, przynajmniej na łódzkich scenach, wyrywkowo. Bynajmniej nie dlatego, że reszta ich spuścizny obumarła. Dzieje się tak wskutek niezrozumiałej niechęci, lenistwa do powtórnych lektur, z braku odwagi, a czasem z powodu słabości artystycznej zespołów. Wstyd to wykrztusić: Łódź nie przeżyła do tej pory ani jednej tragedii greckiej! O paradoksie, z rodzimych klasyków nie zauważono prawie Żeromskiego. Podobnie z Goethem, dano jedynie „Współwinnych", i właściwie red. L. Beck uratował honor miasta, pokazując w swoim teatrzyku „Karuzeli" fragmenty „Fausta". Nie zaprezentowano też ani Strindberga ani Hauptmanna. Nie pokazano nam zupełnie O'Neilla; ambitny Teatr Ziemi Łódzkiej zrobił „Annę Christie", jedną ze słabszych sztuk tego Amerykanina. Pirandello pokazał się raz: „Sześć postaci w poszukiwaniu autora".

Nie świdruję dalej, tylko nadmienię jeszcze, że kilka tytułów zdołano powtórzyć, powtórzyć — wybijmy to słowo tym gorzej, choćby „Krakowiaków i górali", „Moralność pani Dulskiej", „Celestynę" czy ostatnio „Marię Stuart".

Znamienne. Na naszych oczach, równolegle z powrotem czy ponownym świtaniem wielu klasyków (nadchodzi nieuniknienie renesans Grabbego i Büchnera) dokonuje się ostry odwrót niektórych z nich — ze scen i z wyobraźni. Pokryło głuche milczenie takie gwiazdy przełomu wieków jak d'Annunzio, Maeterlinck, Tagore i bodaj Oskar Wilde. Czy aby jednak pewne, że nasza współczesność skazała ich nieodwołalnie na śmierć, czy któreś z dzieł tych pisarzy — i wielu innych — nie ma, nie miałoby w zręcznych dłoniach inscenizatora szans powodzenia u widowni. Rzekliśmy, jej zainteresowaniami, jej smakiem rządzą kaprys i przekora, a może prawidłowość zmuszająca do szacunku, kształtująca się w atmosferze dzisiejszej wrażliwości. Warto sprawdzić. Choćby ryzykiem prowokacji, za cenę mniejszej frekwencji. I gwoli eksperymentu, i dla wywołania z nieznanych partytur niewiadomych; to znaczy zawsze bezcennych rezonansów.

Artykuł DYSKUSYJNY

Gdzie jest Teatr Popularny TV ?

Od pewnego czasu w zapowiedziach piątkowych widowisk teatralnych telewizji zauważyć można niezbyt rzucającą się w oczy zmianę: zapowiedziom nie towarzyszy stwierdzenie spikera, że widowisko prezentowane jest przez Teatr Popularny. Zmiana ta dotyczy zresztą nie tylko szyldu, który dotychczas reklamował określonego rodzaju widowisko. Coraz rzadziej w programie ogólnopolskim pojawia się spektakl przygotowywany przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny. Wystarcza to przeciętnemu widzowi do stwierdzenia, że dość pieczołowicie uprawiany teatr zakończył swoją karierę. A taki fakt uprawnia (przeciętnego właśnie widza) do kilku refleksji na temat tego, co i jak przedstawiono, dlaczego skończyło się po kilkunastu przedstawieniach i wreszcie, co otrzymaliśmy w zamian.

Wydaje się, że naczelną zasadą kierującą doborem repertuaru Teatru Popularnego była możliwie jak największa komunikatywność prezentowanych pozycji. Nie było to oczywiście jedyne kryterium doboru. Łączyło się z nim przeświadczenie, że muszą to być pozycje o wysokich walorach artystycznych. Wymagania, jak widać, niemałe. Nic też dziwnego, że nie zawsze udawało się wynaleźć pozycję, która zadowalałaby ogólnie pojęte wymogi estetyczne widza, a jednocześnie spełniała warunek masowego odbioru. Teatr Popularny bowiem miał pozyskać sobie szeroką publiczność, wśród której znaleźliby się i ci, którzy z teatrem stykają się po raz pierwszy, i ci, którzy z łatwością przyjmują rzeczy trudniejsze. I publiczność taką z pewnością pozyskać mu się udało. Świadczy o tym chociażby pokaźna ilość listów, które napływały do łódzkiej telewizji po każdym spektaklu. W ocenach telewidzów stały obok siebie pochwały dla „Ojca Goriot" i „Ścieżek chwały", „Rozbitków" i „Mirandoliny", adaptacji Iwaszkiewicza i inscenizacji Calderona, i Szekspira, wreszcie uznanie dla reżyserii Antczaka, Broniewskiej, Kanickiego, Worontkiewicza, Hübnera. Teatr Popularny spełniał swoje zadanie, w identyczny zresztą sposób, w jaki spełniał swoje zadanie teatr poniedziałkowy, gdzie można było zetknąć się z repertuarem innego rodzaju, przede wszystkim z dorobkiem polskiej i światowej awangardy teatralnej. Z repertuarem, który niewątpliwie wymagał od swego odbiorcy pewnego przygotowania. Teatr Popularny był teatrem łatwiejszym, jego klasyka i współczesność wywoływały mniej oporów wśród piątkowej publiczności. I jego program musiał zakładać pewną dozę dydaktyzmu. Ale czy dydaktyzm ten przeszkodził „Ścieżkom chwały" zdobyć opinię jednego z najlepszych przedstawień telewizyjnych, czy obniżył wartość literacką i teatralną „Rozbitków" lub „Maskarady"? Zapewniano mu przecież najlepszą reżyserię, starannie dobierano obsadę aktorską. Wespół z widowiskami poniedziałkowymi i przedstawieniami „Studio 1963" Teatr Popularny tworzył, raz lepiej raz gorzej, polski teatr telewizyjny. Zyskiwał sobie stałego odbiorcę, którego w tej chwili zdezorientowano. W poniedziałek ogląda „Doktora Judyma", a w piątek „Głupiego Jakuba" lub „Rozbójnika". Gdzie metoda porządkująca przedstawienia teatralne? Gdzie Teatr Popularny, a gdzie najnowsze osiągnięcia sztuki dramatycznej? Co się stało z uznanymi już łódzkimi widowiskami?

Chwila uwagi zaspokaja gorączkowe pytania: Teatru Popularnego nie ma, ale nie ma też światowej i polskiej awangardy teatralnej, nie ma ambitnych przedstawień poniedziałkowych, nie ma Różewicza, Grochowiaka, Mrożka, nie ma też Dürrenmatta, Ionesco, Giraudoux.

Zmiany w programie teatralnym telewizji obejmują nie tylko wycofanie nazwy, za którą odnajdowało się zazwyczaj określonego rodzaju inscenizację. Teatr Popularny święci pośmiertne triumfy, nie ma wprawdzie Teatru Popularnego Telewizji, ale jest w telewizji teatr popularny.

MIKS

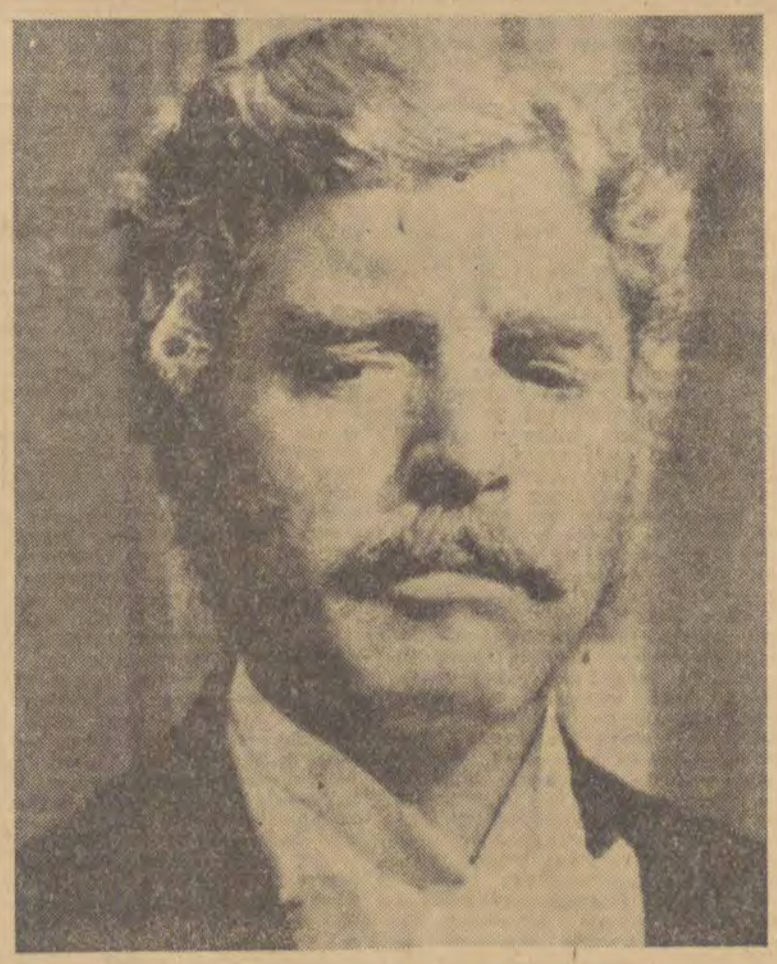

BURT LANCASTER

Burta Lancastera, bożyszcze serc niewieścich, mężczyznę o „najpiękniejszym uśmiechu świata" pamiętamy z wielu filmów, takich choćby jak „Trapez", „Vera Cruz", „Karmazynowy pirat" i ostatnio „Lampart". Ten 49-letni aktor przeżywa teraz niewątpliwie szczytowy okres swej kariery artystycznej. Od ról wymagających li tylko ujmującej aparycji i sprawności fizycznej, przeszedł Lancaster do trudnych i bardzo złożonych psychologicznie kreacji aktorskich w „Więźniu z Alcatraz", „Siedmiu dniach w maju" i „Lamparcie". W ciągu dwóch lat znalazł się w czołówce aktorskiej świata.

O Lancasterze mówią, że jest wielkim samotnikiem i że dysponuje siedmioma iście szatańskimi wcieleniami. A to: Lancaster zagadkowy; poczciwy papa Burt; gbur; pedant, markiz de Lancaster; Lancaster jadowita bestia; Mr Hyde — wyrafinowany okrutnik. Prawdziwa osobowość Lancastera ukryła się w cieniu tych masek. W istocie jest człowiekiem niezwykle zamkniętym w sobie. I mimo iż należy do najważniejszych osobistości dzisiejszego Hollywood nikt o nim właściwie nic nie wie.

Życie miał burzliwe i bogate, jak bohaterowie jego filmów. Uwielbiał włóczęgę i nienawidził spokojnego, ustabilizowanego życia. Wstąpił do cyrku. Wędrował więc po Stanach w poszukiwaniu wrażeń i przygód, gnany ciągłą tęsknotą i wewnętrznym niepokojem. Był twórcą słynnego numeru akrobatycznego „Lang i Cravat".

Po wojnie występował w niewielkich rólkach na Broadwayu. Wtedy to los zetknął go z „agentem literackim" Haroldem Hechtem. Hecht chciał koniecznie zostać impresariem i ofiarował swe usługi Lancasterowi. Marzyli obaj o wielkiej karierze i oczywiście o filmie. W jakiś czas potem Lancaster podpisał swój pierwszy kontrakt filmowy. Za debiutował w „Mordercach" — filmie opartym na opowiadaniu Hemingwaya.

Po drugim filmie Hecht i Lancaster założyli własną spółkę produkcyjną. Miała ona na swym koncie szereg interesujących i ambitnych pozycji, między innymi „Vera Cruz" i „Marty". „Marty" — mówi Lancaster — zdobył cztery „Oscary". Ale początkowo uważano nas za wariatów. Kogo mogłyby interesować miłosne perypetie rzeźnika? — mówiono. Nikogo nie obchodzą brzydcy ludzie.

Ostatnimi czasy w Hollywood coraz częściej obserwować można zjawisko przeistaczania się aktorów filmowych w producentów. Lancaster, sam aktor - producent tłumaczy to zjawisko w sposób bardzo prosty: „Kiedy dystrybutor idzie do banku by otrzymać kredyty na film, pytają go kto gra w nim główną rolę. Nazwisko aktora decyduje o tym czy bank da pieniądze czy nie. No, i aktorzy doszli do wniosku, że mogą śmiało obejść się bez dystrybutorów i zwracać się do banku osobiście".

Marzenia Hechta i Lancastera spełniły się. Zdobyli sławę i zarobili mnóstwo pieniędzy. Sześć oryginalnych Rouaultów zdobiło willę Lancastera. Hecht zadowolił się Utrillem i Corotem. Ale żywot spółki produkcyjnej nie był zbyt długi. Po jej rozwiązaniu wytwórnia MGM zaproponowała Lancasterowi rolę Ben Hura. Odmówił. „Ten film stanowił wielkie wydarzenie w przemyśle filmowym. Ale mnie to nie interesuje. Wolałem rolę Elmera Gantry, bo uważałem ją za coś bardziej wartościowego".

Lancaster ceni filmy mówiące o rzeczywistości, filmy o dużym ładunku ideowym, moralnym, humanistycznym. Swoją twórczość aktorską traktuje w pewnej mierze jak posłannictwo. Chce służyć ludziom. Mimo swego rzekomego samotnictwa tkwi bardzo mocno w sprawach tego świata. Kilkakrotnie uczestniczył w wystąpieniach na rzecz Murzynów. Pragnie kiedyś zrealizować film o problemie murzyńskim w Ameryce.

Obecnie, jak wiadomo, przebywa we Francji, gdzie gra rolę francuskiego kolejarza w filmie Johna Frankenheimera „Pociąg". Akcja filmu rozgrywa się w czasie okupacji niemieckiej. Lancaster przyjął tę rolę ponieważ uważa, że sprawa walki z uciskiem wroga, jest tematem uniwersalnym i obchodzącym każdego kto kocha wolność. Stara się zawsze grać postacie bliskie jego własnym poglądom na świat i ludzi. Dlatego też drogą była mu postać Strouda, bohatera filmu „Więzień z Alcatraz" J. Frankenheimera. Stroud należał bowiem do ludzi, którzy za wszelką cenę dążą do tego, by być takimi jakimi chcą być, dążą do swobodnego wyboru własnego ja. Tak jak stworzona przez niego postać więźnia z Alcatraz — Lancaster pragnie pozostać zawsze wierny samemu sobie.

Mówiąc o swych ulubionych filmach i rolach wymienia znakomity aktor „Elmera Gantry" — film godzący w amerykański fideizm, „Wielki szantaż" — obnażający „metody" działania niektórych amerykańskich dziennikarzy, „Proces w Norymberdze" — dzieło o wielkich walorach humanistycznych, „Siedem dni w maju" — świetny film polityczny ostrzegający przed militaryzmem i antyradziecką histerią grupy wyższych oficerów Pentagonu, spiskujących przeciwko mądremu i prowadzącemu pokojową politykę prezydentowi.

Nawiasem mówiąc, film podobnie jak i książka Knebela i Bailey'a, na podstawie której został on zrealizowany, nabrały szczególnie znamiennej wymowy w związku z tragiczną śmiercią prezydenta Kennedy'ego.

Za jedną ze swych najtrudniejszych ról uważa Lancaster rolę księcia Saliny w „Lamparcie". Najtrudniejszą, a zarazem i najbardziej udaną. Bo śmiało można zaryzykować stwierdzenie, że jest to jedna z najlepszych kreacji aktorskich, jakie mieliśmy możność oglądać na przestrzeni ostatnich kilku lat.

Opracowała M. K.

Rozmowa z Lechem Kunką

Kolor mikro-kosmosu

„Tysiące obrazów, kompozycji, rzeźb... Co się z nimi dzieje? Jakie miejsce zajmują w życiu społeczeństw? Jaki mają wpływ na wygląd świata?" — POLITYKA, B. Majewska,

W laboratorium — pracowni Lecha Kunki pytania te tracą swoje retoryczne znaczenie. Nie ma tu, co prawda, tysięcy obrazów, nie ma rzeźb, jednak płótna — barwne pejzaże struktur biologicznych zapełniają całkowicie pokój. Pracownia pozbawiona sprzętów takich jak stoły, stołki, krzesła i szafy, daje wrażenie niepokojącej mnogości. Płótna leżące na podłodze i te rozpięte na sztalugach, gotowe i ledwo zaczęte, tworzą jeden organizm. Oko artysty świeże i zdumione dostrzega nieznane dotychczas efekty wewnętrzne: strukturę atomu, konstrukcję pierwiastka. Obnażanie tych organizmów stało się nieustanną pasją twórcy.

Lech Kunka studiował malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi w latach 1945—48. W latach 1948—49, jako stypendysta rządu francuskiego znalazł się w pracowni Fernanda Legera. Ten wielki malarz objawił mu całą filozofię kubizmu. Moim zdaniem malarstwo Lecha Kunki wywodzi się bezpośrednio z kubizmu nie w swojej tematyce (kubizm dostrzegał często efekty zewnętrzne, kształt przedmiotu), ale w całej swojej istocie, duchu i metodzie. W tym pojmowaniu Kunki zadań i cech sztuki naszego wieku — szczególną rolę odegrała jego natura silnego człowieka z ludu i stąd chyba płynący bezpośredni liryzm, sztukę jego uformował też bez wątpienia wstrząs, jaki w nim wywołała wojna oraz osiągnięcia współczesnej nauki, znajdujące wyraziste odbicie w jego obrazach.

Lech Kunka, dzisiaj docent i prorektor PWSSP w Łodzi ma już za sobą 54 wystawy (w tym 12 indywidualnych). Obecnie wystawia w Zagrzebiu, ma także zaproszenie do Stanów Zjednoczonych. Fakt uczestnictwa w tylu wystawach należy szczególnie podkreślić. Tylko w ten sposób — dzieła malarskie osiągają swoją właściwą funkcję i wymiar. Brak wystaw jest przyczyną rodzenia się mitów, zawsze fałszywych i w każdym przypadku szkodzących sztuce.

— Proszę pana, mimo że metropolia i pewne grupy malarskie są w pozycji uprzywilejowanej, to jednak ogólna sytuacja twórców jest podobna we wszystkich środowiskach kulturalnych. Jest ona — jak wiemy — nie najlepsza. W jaki sposób można by ją poprawić?

LECH KUNKA: — Sądzę, że można by odpowiedzieć bardzo krótko: niezbędny jest prawidłowy mecenat państwowy, potrzebne są muzea, wystawy i przychylniejsze stanowisko krytyki. Ale sprawa ta wymaga pewnych wyjaśnień. Współczesny artysta malarz jest mało eksploatowany. Oprócz budzenia zachwytu, który jest bezpośrednim celem malarstwa, malarz winien być konstruktorem i dekoratorem naszej epoki. Jesteśmy spokrewnieni duchowo i fizycznie z mistrzami renesansu. Nęcą nas wszystkie rzemiosła: ceramika, rzeźba polichromiczna, tkanina i film. Twórczość nasza winna promieniować poprzez przedmioty. Zniknęłaby wtedy rozbieżność między wrażliwością estetyczną większości odbiorców, a propozycjami twórczymi malarstwa abstrakcyjnego. Podałem już renesans jako przykład harmonii różnych sztuk z życiem społecznym...

— Właśnie, zapewne Pan spotykał się czasem z niezrozumieniem swej sztuki ze strony widzów, a może nawet nie najlepiej przygotowanych do swego zawodu krytyków. Sądzę, że wyjaśnienie podstaw pańskiego malarstwa, jego sensu filozoficznego w znacznym stopniu ułatwiłoby kontakty z odbiorcą. Sądzę, że Pan sam najlepiej i najwnikliwiej określiłby elementy swej estetyki i wzmocnił tym samym znaczenie użyteczności społecznej tego malarstwa?

LECH KUNKA: — Niegdyś można było myśleć, że „użyteczne społecznie" są płótna o wyraźnej tzw. anegdocie czyli malarstwo figuratywne, operujące znakami ikonograficznymi. Dla mnie ważniejsza jest struktura, budowa świata, tego małego świata — mikrokosmosu — i tego dużego świata — makrokosmosu. Moje przygody i emocje są przekazywane bezpośrednio, przez barwę, przez układ kolistych form. Jest to stosunek twórca-odbiorca, bez użycia znaku jako przekaźnika wzruszeń. W moim wypadku wprowadzenie tego trzeciego momentu — pośredniego — rozbiłoby mój zamysł twórczy. Niektóre np. z moich prac wyrażają lęk znany nam wszystkim, lęk przed katastrofą, przed wojną. Nie mogę inaczej wyrazić tego stanu jak tylko strukturalnie. Ukazując rozbicie materii, podstawowych cząstek z których zbudowany jest świat, rozpad ich. I to jest też realizm, rozumiany szerzej, zgodnie z naszą naukową epoką. Gdybym figuratywnie (jakimś tzw. „czytelnym" obrazkiem) chciał oddać groźbę wojny nuklearnej — stworzyłbym co najwyżej groteskę.

Słyszy się nieraz zdania, że malarstwo abstrakcyjne wymyka się wartościowaniu, że jest w pewnym sensie „łatwe" do uprawiania, bo — rzekomo — nie wymaga namysłu, wysiłku, wiele pracy. Biorąc wysiłek twórczy za miernik wartości — muszę powiedzieć, że moje obrazy kosztują mnie dużo pracy, namysłu, nawet wahań. Tych skrupułów nie miałem kiedyś — gdy malowałem w konwencji przedmiotowej. Mogłem wtedy dziennie namalować dwa duże płótna, teraz praca nad jednym obrazem trwa całe miesiące.

Ten stan rzeczy, o którym mówi Lech Kunka nie budzi jednak w nim niepokoju, przeciwnie, wywołuje jak twierdzi on sam stan wzmożonej energii i uczucie harmonii z otaczającym światem.

— Panie docencie, wiem jak wiele do rozszerzenia pojęcia realizmu wniosła na wskroś „abstrakcyjna" sztuka malarska, czy mógłby Pan raz jeszcze podać możliwości powiększenia obszaru oddziaływania tej sztuki tak, aby stała się sztuką masową?

LECH KUNKA: — Tym razem odpowiem krótko: Walka ze szmirą, plastyka użytkowa, dezintegracja sztuk: a więc architektura plus rzeźba plus malarstwo na usługi ludzkości. Konflikt między społeczeństwem, a współczesnym malarstwem jest sztuczny, jestem przekonany, że zniknie on kiedyś bezpowrotnie. Wtedy sztuka dzisiejsza nowoczesna wejdzie w życie społeczeństwa, tak zresztą jak już dziś wchodzi.

— Tak, dowodem tego jest choćby dzieło Pańskich rąk włączone w tzw. obieg życia codziennego, dekoracja... Biblioteki Uniwersyteckiej przy ul. Narutowicza.

LECH KUNKA: — No właśnie.

Rozmawiał:
ZBIGNIEW KOSIŃSKI

ANDRZEJ NADOLSKI

(II)

ZWIERZENIA ARCHEOLOGA

Czas: rok 1956. Miejsce: wnętrze romańskiej kolegiaty w Tumie pod Łęczycą, rozryte do granic ostatecznych. Aktorzy: w wykopie — fragment fundamentowego muru z kamienia polnego, nad wykopem — trzej archeolodzy z zafrasowanymi minami. Przyczyna zafrasowania całej trójki (chodzi o zespół Pracowni Archeologicznej Ziemi Łęczyckiej) nie był bynajmniej sam fakt odkrycia muru. Całe wnętrze kolegiaty pełne było murów i murków różnego rodzaju, od późnych osiemnastowiecznych krypt, aż po czcigodne, z początku jedenastego wieku pochodzące fundamenty łęczyckiego opactwa Panny Marii, najstarszej murowanej budowli w naszych stronach i jednego z najstarszych klasztorów w Polsce. Mur — sprawca ambarasu był jednak murem niezwykłym. Niczego nie dźwigał, z niczym się nie wiązał w jakikolwiek logiczny układ. Wyrastał pod kątem prostym z fundamentów południowej ściany dwunastowiecznego kościoła, przecinał boczną nawę i nagle bez żadnego sensu urywał się. Nie był zniszczony przez późniejsze wkopy, ani przecięty przez inny, młodszy mur. Po prostu kończył się tak, jakby budowniczym znudziło się dalej układać kamienie i zalewać je zaprawą, jakby przerwali robotę w połowie, przekonani o jej zupełnej bezużyteczności.

Przez długi czas łamaliśmy sobie głowy, aby znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie tej zagadki. Na próżno! Sprawę wypadało odłożyć ad acta, jako nierozwiązaną. I tylko między sobą, na prywatny, wewnętrzny użytek mówiliśmy, że ekscentryczny mur to... wynik pracy w poniedziałek. Widocznie czynna tu „brygada" murarska, w niedzielę gorliwie korzystała z usług instytucji, którą w średniowiecznej łacinie zwano „taverna". Po polsku — karczma. Nazajutrz dwunastowieczni budowlani stawili się wprawdzie do pracy, ale w nastroju zbyt smutnym, albo zbyt wesołym. W każdym razie kopali rów i kładli fundament tak jak to serce dyktowało, a nie tak jak to sobie wyobrażał kierujący budową architekt. Ktoś wreszcie położył kres zabawie, przerwał w połowie „radosną twórczość". Pozostał po niej ślad: zasypany ziemią fragment fundamentu, który niczego nie dźwiga.

Ładna bajeczka? Może i ładna, ale właśnie jako bajeczka. Z punktu widzenia nauki nie posiada ona właściwie żadnej wartości. Ma wagę zwykłego domysłu nie popartego dowodami. Kto chce może wierzyć, albo i nie wierzyć. Nikt nikogo nie przekona.

Przed dwoma laty archeolodzy z Katedry Archeologii Polski UŁ, prowadzący badania w Odrach, w woj. bydgoskim dokonali niezwykle ciekawego odkrycia. Dokonali go zresztą właściwie na marginesie swego głównego zadania. Tu jednak trzeba powiedzieć parę słów o Odrach, może się to nam jeszcze przydać. Od dawna zatem wiedziano, że w tej właśnie miejscowości, wśród pięknego lasu znajduje się skupisko zagadkowych kręgów kamiennych. Amatorzy starożytności snuli na temat owych kręgów najdziwniejsze domysły. Widzieli w nich ślady przeróżnych religijnych i astronomicznych wyczynów dawnych mieszkańców Pomorza. Odczytywali z nich cały kalendarz słoneczny. Doszukiwali się bodaj wpływów fenickich. Później wykopaliska, metodyczne, ale prowadzone na ograniczoną skalę, wyjaśniły, iż chodzi tu przede wszystkim o cmentarzysko, na którym kurhany — kopce nagrobne otoczone są pierścieniami ułożonymi z narzutowych głazów. To właśnie cmentarzysko bada od dwóch lat łódzka ekspedycja. I oto pod nasypami kurhanów dostrzegli nasi koledzy dziwne zjawisko. Pierwotna powierzchnia gleby, ta powierzchnia, na której niegdyś spiętrzono kopce nagrobne jest pożłobiona bruzdami, ciągnącymi się równolegle jedna obok drugiej. Nie będę się tu wdawać w szczegóły. Wystarczy jeśli stwierdzę (choć zaczynam przybierać profesorskie tony!), że odkrywcy w bruzdach tych dopatrzyli się rezultatów orki sprzed wieków. Pogląd ten został ogólnie przyjęty i słusznie! Jakaż inna racjonalna czynność ludzka mogłaby pozostawić takie ślady? Oczywiście, zgodnie z założeniem pominęliśmy czynności irracjonalne. Te jednak traktujemy jako wyjątki. Można by na upartego założyć, że bruzdy z Odrów to również rezultat wyrafinowanych harców pradziejowego alkoholika, ale każdy przyzna, że to tłumaczenie naciągane. Lepiej przyjąć to pierwsze, zgodne ze zdrowym rozsądkiem, skoro je dostrzegamy.

Jest jednak cała obszerna i ważna dziedzina kultury, która nie mieści się w ramach racjonalnego rozumowania, dziedzina wierzeń i kultów. Zawodzą nas tutaj kryteria wystarczające w badaniach nad uprawą roli, rzemiosłem czy uzbrojeniem. Reguły kultu układają się, rzecz jasna, w logiczne związki, ale drogi jakie do tych związków wiodą, są bardzo zawikłane i bardzo trudne do odcyfrowania, nawet tam, gdzie materiał archeologiczny jest obfity i na pozór jednoznaczny. Ot, weźmy choćby zwyczaje pogrzebowe, z którymi archeologistyka się nieustannie.

Dawne to już czasy, gdy jako początkujący student (i w jednej osobie asystent, taka to była oryginalna epoka, ten rok 1946), na pierwszej swojej praktyce wykopaliskowej, w Łubnej w Sieradzkiem, spotkałem się z sympatycznymi osobnikami, znanymi w archeologii pod wdzięczną nazwą „zmarli pochowani w pozycji skurczonej". Ci dobrzy znajomi archeologów prezentują się w postaci szkieletów ułożonych na boku z podkurczonymi kolanami i rękami zgiętymi w łokciach. Jakież przyczyny skłaniały ludzi z epoki kamienia i początków epoki brązu, bo o nich mówimy, do tak osobliwego traktowania swoich drogich nieobecnych? Gdybyśmy chcieli dopatrywać się tu jakichś pobudek racjonalno-praktycznych, moglibyśmy co najwyżej podejrzewać, że chodziło o zaoszczędzenie sobie pracy przy kopaniu jamy grobowej. Sprawa nie przedstawia się jednak tak prosto. Przecież jama przeznaczona dla nieboszczyka wyprostowanego jest wprawdzie dłuższa, ale za to węższa. W sumie na jedno wychodzi. Analogie zaczerpnięte ze studiów nad obyczajami niektórych, współczesnych nam ludów o prymitywnej kulturze, skłoniły archeologów do tłumaczenia całej kwestii względami wierzeniowymi, nakazami kultu zmarłych. Na to godzą się wszyscy, ale i na tym koniec zgody. Jedni chcą widzieć w skurczonej pozycji szkieletu naśladownictwo typowej pozycji człowieka śpiącego. Śmierć to sen, więc zmarły powinien leżeć tak, aby mógł śnić spokojnie. Inni twierdzą, że prahistoryczne przedsiębiorstwa pogrzebowe układały swych klientów w postawie embriona: po zgonie człowiek wraca do łona matki — ziemi. Jeszcze inni, widocznie pesymiści, dopatrują się tu pobudek upiornych, w ścisłym znaczeniu tego słowa. Człowiek pierwotny, powiadają, czuł się nieustannie zagrożony przez mroczne siły pozagrobowe. Każdy zmarły dziadek czy wuj mógł się ocknąć jako upiór i — wydusić całą rodzinę! Perspektywa fatalna, ale na wszystko jest rada: zatem działając niejako w obronie koniecznej, krępowano umarłego delikwenta sznurami w ten sposób, żeby nawet drgnąć nie mógł i dopiero tak obezwładnionego zakopywano w ziemi. W efekcie mamy dziś grób ze szkieletem skurczonym.

Ten drobny przykład wystarczająco chyba scharakteryzował trudności na jakie natrafia archeolog interpretujący zjawiska wchodzące w zakres minionych wierzeń. Nie tu jednak koniec kłopotów. Szczególnie naukowcy obdarzeni nieco bujniejszą wyobraźnią (a naukowcy — też ludzie, bywają różni) narażeni są na poważną pokusę przy śledzeniu dawnych obyczajów religijnych. Oto obyczajami tymi da się wyjaśnić dosłownie wszystko, nawet najbardziej zagadkowe, niejasne odkrycia, przy czym będą to niemal z reguły wyjaśnienia efektowne, pełne polotu. Każde zjawisko niezrozumiałe, albo... nieprzestudiowane do końca można wytłumaczyć koniecznością przestrzegania nakazów kultu. Dlaczego ludność kultury łużyckiej spalała swych zmarłych na stosie? Bo tak nakazywały wierzenia. Dlaczego na niektórych cmentarzyskach z wczesnego średniowiecza mężczyzn kładziono głową ku wschodowi, a kobiety ku zachodowi? Bo tak nakazywały wierzenia. Dlaczego w słynnym Biskupinie wszystkie domy były zwrócone drzwiami w stronę południowo-wschodnią? Bo tak nakazywały wierzenia... Otóż to! Czy rzeczywiście? Czy raczej nie wchodziły tu w grę zupełnie inne, czysto praktyczne, racjonalne względy, nie obce i dzisiejszym architektom? Czy nie szło po prostu o zapewnienie możliwie największego dopływu słońca do wnętrza domostw? Przyjęcie pierwszego, „wierzeniowego" tłumaczenia równałoby się w tym, przejaskrawionym zresztą przypadku, pójściu po linii najsłabszego oporu, zrezygnowaniu z bardziej wnikliwej interpretacji obserwowanych zjawisk. Łatwo wpaść w formalny nałóg i dostrzegać w końcu ślady kultu tam, gdzie ich w ogóle nie ma i tam, gdzie wprawdzie zachowały się, ale w skali znacznie skromniejszej od tej, która rysuje się w oczach archeologa-fantasty. Każde palenisko awansuje wówczas do rangi świętego znicza, każde skupisko kości zwierzęcych (może wyrzuconych niegdyś na śmietnik) — do rangi krwawej ofiary, a... kręgi kamienne w Odrach stają się pomnikiem staroegipskiej, tajnej wiedzy gwiaździarskiej, przeniesionej na daleką Północ za pośrednictwem fenickich żeglarzy. Czysta metafizyka.

CO KUPOWAĆ?

Czy kupować, co kupować i jak kupować? Zastanawia się nad tym w ostatnim numerze „Życia Literackiego", w artykule „Zakupy i Zachęta" Jerzy Madeyski. Problem nie jest błahy, jako że nie o parę butów czy mięso tu chodzi, a o dzieła sztuki. O dzieła sztuki, czyli obrazy, zakupywane od malarzy przez Rzeczpospolitą. Przez Rzeczpospolitą, a więc za pieniądze przez nas wszystkich zapracowane. Przez Rzeczpospolitą jedynego dziś mecenasa, sprawującego opiekę nad artystami. Mało kogo stać dziś na to — sprawa to znana — by kupić obraz współczesnego malarza. A może i nikogo. A przecież, pokąd nikogo na kupowanie obrazów jeszcze nie stać, pokąd ściany naszych mieszkań zdobią tylko reprodukcje, obrazy musi nam kupować Rzeczpospolita. Abyśmy mogli płótna Nowosielskiego czy Głowackiego oglądać w muzeach, w świetlicach, w szkołach. No tak, ale kogo kupować? Jakie obrazy? I czyje obrazy? Kogo Rzeczpospolita winna protegować? Jaki kierunek, jakich malarzy? I czy w ogóle winna kogoś protegować? Na co, na czyje płótna owe pieniądze — nasze, bo Rzeczpospolitej pieniądze — winny być obrócone?

„Sprawa nie przedstawia się prosto, jako że samo zagadnienie jest mocno skomplikowane i nie pozbawione poważnych znaków zapytania. Zahacza z jednej strony o muzealnictwo, z drugiej styka się z problemem istoty mecenatu, jego roli i zadań, konieczności doraźnego, społecznego oddziaływania oraz trwałych, interesami chwili niewymiernych skutków".

Tak pisze Madeyski. A ponieważ sprawa nie przedstawia się prosto, ponieważ mecenas ma swoje niezaprzeczalne racje (artystyczne i wychowawcze) i artyści mają swoje niezaprzeczalne racje (artystyczne i wychowawcze), a zapewne mają swoje racje również i ci, którzy obrazy, zakupione przez mecenasa, chcieliby oglądać, ponieważ wiele jest kierunków (a wszystkie może wiele warte, a może nic nie warte) i wielu malarzy (a wszyscy itd.), Madeyski proponuje Wydziałom Kultury, które w owej kwestii decydują, szukanie złotego środka:

„Tak właśnie jak to uczynił krakowski Wydział Kultury, zakupując prace należące do najrozmaitszych gatunków obrazowania i najrozmaitszej rangi artystycznej. Pojmując szeroko zasługi, położone dla rozwoju artystycznego miasta, sprowadzono do jednego mianownika twórców wnoszących istotne wartości plastyczne i twórców sztukę tę upowszechniających, tych bez których współudział: najwybitniejsze nawet osiągnięcia pozostałyby martwą ozdobą pustych sal muzealnych. Dlatego też na wystawie zakupów PRN m. Krakowa, obok dzieł wybitnych lub choćby tylko ponad przeciętnych, znalazła się niemała ilość prac zdecydowanie niedobrych, wtórnych, nie ambitnych i nie odkrywczych. Cóż jednak, ich zakup należy traktować jako wyróżnienie nie tyle artystów, ile działaczy, czasem jako swojego rodzaju zapomogi lub odznaczenia jubileuszowe, czy też w końcu jako czynnik mający przywrócić pewnym jednostkom wiarę we własne siły. Tak czy inaczej zakupy te wykazują dość precyzyjnie troskę mecenasa o prawdziwie i szeroko pojęty rozwój artystyczny miasta, widziany w całej złożoności problemu i wszelkich, nie subiektywnych i nie zacieśnionych aspektach".

Madeyski mówi o Krakowie, ale sprawa aktualna jest chyba i w Łodzi. Nie wiem co prawda, jak problem zakupów dzieł sztuki w Łodzi jest rozwiązywany, czy obowiązuje piękna zasada złotego środka, czy równie piękna zasada stronniczości? Warto chyba problem ów przemyśleć, a może i przedyskutować publicznie. Pamiętając jednak o tym, że piękna (skądinąd) zasada złotego środka nie powinna chyba w państwie Sztuki obowiązywać. Mecenasi zawsze byli stronniczy i nic w tym dziwnego: pewne dzieła sztuki podobały im się, a pewne nie. Mecenas — nawet jeśli jest nim Rzeczpospolita — powinien więc i dziś być stronniczy. Choćby dlatego, że stronnicza jest Natura: jednych talentem obdarza, a drugim talentu skąpi. Choćby dlatego, że stronnicza (a i nieubłaganie stronnicza) jest Sztuka: pieczęć swoją daje temu, co odważne, co na nowo pomyślane i na nowo zobaczone.

DNO

„Nie wywozimy dobrych wspomnień z Innsbrucka — pisze w ostatnim numerze „Kultury", w „Liście z Innsbrucka", zasmucony Bohdan Tomaszewski. — Jak to się mówi, przebrała się czara goryczy. Pasmo porażek i niepowodzeń. Począwszy od eliminacyjnego meczu hokeistów z Niemcami, poprzez starty na torach saneczkowych, trasach narciarskich, bieżniach łyżwiarskich, zawsze było gorzej niż oczekiwali nawet sceptycy. Ktoś z naszej ekipy, zdeterminowany w Innsbrucku, rzucił nawet rozpaczliwą uwagę, że polski zespół znalazł się na dnie".

Smutek reportażysty jest z pewnością uzasadniony. Uzasadnione są również wnioski na przyszłość:

„Wnioski, jak wydaje mi się, powinny pójść w kierunku analizy obecnego ustawienia pracy w naszym sporcie, przełamywania pewnego zrutynizowania, schematu organizacyjnego i szkoleniowego, zmiany niejednej metody, która w roku 1964 już zawodzi, nie przynosi takich efektów, jak przed kilku laty".

Czekajmy przeto na efekty, może się doczekamy, a może nie, a tymczasem, prosi Bohdan Tomaszewski:

„Nie peszmy się dogłębnie Innsbruckiem. Popracujemy teraz lepiej, również. Umasawiajmy i starajmy się zdobywać medale".

Otóż to. Umasawiajmy medale. A gdy medale zostaną umasowione, być może, choć jeden z nich przypadnie kiedyś w udziale i nam.

Boiteau

Polska książka w NRF

Śledząc prasę niemiecką stwierdzamy z satysfakcją, że w Niemczech zachodnich ukazało się w minionym dziesięcioleciu więcej dzieł polskich autorów, niż kiedykolwiek przedtem. Zainteresowanie niemieckiego czytelnika dla polskiej literatury wzrosło szczególnie po roku 1956; w utworach literackich doszukiwano się wówczas aluzji politycznych, a w obrachunkach polskich pisarzy z epoką stalinizmu chciano widzieć protest przeciwko obozowi socjalizmu. Wkrótce jednak prysły wszelkie rewizjonistyczne złudzenia, krytyka i czytelnicy dość szybko zorientowali się, że zarówno „Piekło wybrukowane" Brauna, jak „Matka Królów" Brandysa i „Ciemności kryją ziemię" Andrzejewskiego nie usprawiedliwiają bynajmniej tak pochopnych wniosków. Niemniej obudzone już zainteresowanie niemieckich wydawców dla polskiej literatury nie osłabło, w NRF ukazuje się coraz więcej polskich książek w dobrych na ogół tłumaczeniach, czytanych i kupowanych widocznie dla ich walorów artystycznych i poznawczych.

Znany krytyk literacki Günter Zehm w ciekawy sposób omawia w poważnym hamburskim dzienniku „Die Welt" cztery książki polskich autorów, które w roku 1963 cieszyły się znacznym powodzeniem. Są to: „Kochankowie z Marony" Jarosława Iwaszkiewicza, „Boski Juliusz" Jacka Bocheńskiego, „Podróż" Stanisława Dygata (wydana pod „łopatologicznym" tytułem „Rozwiane marzenia"), — oraz „Przejście przez Morze Czerwone" Zofii Romanowiczowej, mieszkającej stale w Paryżu.

Günter Zehm zaznacza na wstępie, że mylne jest mniemanie, jakoby polska literatura stale i niezmiennie „tkwiła na barykadach". Arsenał jej mieści nie tylko broń krytyczną, obecnie literatura polska powróciła do „powszednich dni kraju".

„W tomie opowiadań Iwaszkiewicza „Kochankowie z Marony" — pisze Zehm — objawia się najwyraźniej ciągłość polskiej literatury. Tom zawiera opowiadania z kilku dziesięcioleci, ale czytelnik bez trudu dostrzeże, iż opowiadania z lat ostatnich pod względem tematyki, formy i nastroju nie odbiegają zbytnio od utworów z lat dwudziestych i trzydziestych... Są to z jednej strony zabarwione nieco naturalistycznie historie z środowiska wiejskiego z lapidarnie i ostro zarysowanymi wielkimi konfliktami, przypominającymi czasem Tołstojowską: „Potęgę ciemnoty". Z drugiej zaś strony znajdujemy tu opowiadania o takim „zamęcie uczuć", jakie Stefan Zweig umieszczał zazwyczaj w luksusowych hotelach Szwajcarii lub na Jasnym Brzegu; u Iwaszkiewicza natomiast wszystko dzieje się w kręgu polskiej prowincjonalnej inteligencji, na tle ospałej prowincjonalnej nudy, która gdzieniegdzie panuje zapewne i dzisiaj...".

„Fakt, że w obecnych czasach Iwaszkiewicz nawiązuje do początków swojej twórczości wykracza daleko poza osobistą sprawę pisarza: jest dowodem zgodności polskiej literatury z jej silnymi tradycjami, które w sposób wręcz doskonały ucieleśnia Iwaszkiewicz — nestor polskiej literatury współczesnej".

W dalszym ciągu swoich wywodów Günter Zehm z dużym uznaniem omawia „Boskiego Juliusza" Jacka Bocheńskiego: „... tę niezwykłą dowcipną interpretację klasycznych łacińskich tekstów załatwia Bocheński poprzez fikcyjną postać antykwariusza, który dysponuje nie tylko solidnym wykształceniem klasycznym i filozoficzną ścisłością, ale ponadto tak wnikliwym spojrzeniem na realia historii, że „boskość" Wielkiego Juliusza rozpływa się w nicość..." Wzorem dla Bocheńskiego była niezawodnie powieść Brechta: „Interesy Pana Cezara" pisze Zehm i dodaje: „tutaj jednakże komentarz dzielnego antykwariusza staje się jakby cynicznym poradnikiem dla wszystkich obecnych i przyszłych dyktatorów, którzy chcieliby zostać bogami".

W powieści Dygata „Podróż" krytyk niemiecki dostrzega przede wszystkim „ironiczne odbrązowienie mitu dalekiego Zachodu", mitu zrodzonego z tradycyjnej tęsknoty polskiej elity intelektualnej do Francji i Włoch. Zachód — twierdzi Zehm — jest bowiem dla Polaków ową czarodziejską wodą, która (zgodnie ze znanym niemieckim powiedzeniem) „jakże by nam smakowała, gdyby była zakazana". Oto pisarz z Polski Ludowej wyjeżdża nareszcie do Włoch, ale wraca — głęboko rozczarowany. Nie przeżył żadnej z owych wyśnionych wielkich przygód, wyobraźnia okazała się bogatsza niż rzeczywistość; w drodze powrotnej spotyka urzędnika ministerialnego, który zapewne przeżył coś z tego, o czym nasz pisarz marzył. Ale, o dziwo, ten pan też czuje się rozczarowany Włochami i w ogóle Zachodem. Sens powieści wydaje się banalny: dobrze jest tam, gdzie nas nie ma. Bezsprzeczna oryginalność Dygata mieści się jednak w ironiczno-melancholijnej tonacji powieści, w atmosferze mądrego smutku, który towarzyszy przecież wszelkim straconym złudzeniom.

Ten sam smutek dostrzega niemiecki krytyk w powieści Zofii Romanowiczowej „Przejście przez Morze Czerwone". Tę powieść osnutą na tle autentycznych przeżyć dwóch Polek w hitlerowskim obozie koncentracyjnym nazywa Zehm „arcydziełem polskiej literatury współczesnej".

Prawie równocześnie ukazało się jednak w Niemczech dzieło innego polskiego pisarza, które bez porównania bardziej niż powieść Romanowiczowej wstrząsnęło opinią publiczną Niemiec. Mowa o opowiadaniach obozowych Tadeusza Borowskiego „Kamienny świat". Krytyka niemiecka oddała w pełni sprawiedliwość artystycznemu mistrzostwu zmarłego przedwcześnie pisarza: w październiku 1963 grono literackich jurorów w Darmstadt przyznało książce Borowskiego zaszczytny tytuł: „książki miesiąca".

* * *

We Frankfurcie nad Menem toczy się obecnie gigantyczny proces przeciwko pokaźnej grupie SS-owskich katów z Oświęcimia. W tym samym czasie pewna liczba młodych niemieckich dziewcząt i chłopców przeczyta zapewne takie opowiadania młodego Polaka Borowskiego jak „Dzień na Harmenzie", „Proszę państwa do gazu" i inne.

Jakie myśli nasunie im ta lektura? Jak ukształtuje się w Niemczech świadomość dzisiejszych dwudziestolatków? Odpowiedź na te pytania przyniesie nam dopiero przyszłość.

ICZ

POLONICA

POLSKIE FILMY W OBERHAUSEN

Międzynarodowy Festiwal Krótkich Filmów w Oberhausen zakończony, nagrody rozdane (Polska została głównym laureatem), wiemy o tym wszystkim z doniesień prasy codziennej. Warto jednak zacytować, co o polskich filmach pisał krytyk Helmuth de Haas w „Die Welt" (8 lutego br.), kiedy festiwal trwał jeszcze i jury nie mogło podjąć żadnych uchwał w sprawie nagród. W recenzji pt. „Polska sięga po palmę zwycięstwa" czytamy: „Wszystkie siedem polskich pozycji co do jednej („Diabeł" Urbańskiego, niezwykły reportaż sportowy o wyścigu popielniczek) są dobre i godne uwagi. Owacje wzbudził rysunkowy film trickowy „Czerwone i czarne" Witolda Giersza — satyra na corridę i kibiców rekrutujących się spośród kobiet. „Powrót okrętu" Marzyńskiego to wzorowy film dokumentalny o przyjeździe amerykańskich Polaków do ojczyzny. „Źródło" Jaworskiego jest rodzajem sprawozdania filmowego ze wsi, której mieszkańcy pozbawieni wody, pokłócili się między sobą, gdy nagle na jednym z pól wytrysło źródło. „Pojedynek" Michalskiego ukazuje walkę na pistolety między Amerykaninem i Polakiem, widzianą przez lupę, co daje nieoczekiwane efekty".

Po omówieniu pozostałych filmów: „Krzesła" Daniela Szczechury i „Niebezpieczeństwa" Jerzego Kotowskiego, Helmuth de Haas stwierdza: „Tak jak rzeczy stoją, jest więcej niż pewne, że Polska zdobędzie główną nagrodę".

Tak się też stało.

LITERATURA POLSKA W AMERYCE

W czasopiśmie „Ameryka" (nr 61) ukazał się znakomity artykuł pt. „Literatura polska w Ameryce". Autor artykułu, Edmund Gordon, opowiada historię przekładów, zainteresowań i recepcji utworów polskich pisarzy w Stanach Zjednoczonych od czasów Mickiewicza aż po dzień dzisiejszy. A oto zakończenie artykułu: „Nie ulega kwestii, że literatura polska zdobyła sobie poczesne miejsce w życiu kulturalnym Ameryki. Zważywszy, że Polacy żywo interesują się literaturą amerykańską, dobrze się stało, że wymiana kulturalna między obu narodami rozwija się obecnie na zasadzie wzajemności".

POLSKIE KSIĄŻKI W PLANACH CARL HANSER VERLAG

Jak wynika z zapowiedzi wydawniczych, firma Carl Hanser Verlag w Monachium projektuje wydanie w roku 1964 następujących pozycji z literatury polskiej: „Nowe myśli nieuczesane" Stanisława Jerzego Leca, „Pamiętnik antybohatera" Kornela Filipowicza oraz poemat Jerzego Harasymowicza „Prawdziwy portret autora dla swojej matki" w przekładzie zasłużonego Karla Dedeciusa i z dwustoma całostronicowymi drzeworytami G. B. Fuchsa. Ponadto do antologii noweli europejskiej, planowanej przez to samo wydawnictwo, wejdą opowiadania polskie: „Światło i mrok" Filipowicza i „Morderca" Witolda Wirpszy.

W SŁOWACJI O POLSCE

W stolicy Słowacji, Bratysławie, ukazała się nakładem wydawnictwa państwowego książka Rudolfa Hoffmanna pt. „Polska wczoraj i dziś", poświęcona powojennym dziejom Polski. Autor analizuje nie tylko wydarzenia polityczne, książka jego jest także próbą ukazania przemian społecznych, gospodarczych i kulturalnych naszego kraju po wojnie.

MEDAL DLA PROF. SZYROCKIEGO

Instytut im. Goethego w Monachium odznaczył prof. Marię Szyrockiego z Uniwersytetu Wrocławskiego srebrnym medalem Goethego za zasługi poniesione w dziedzinie nauczania języka i literatury niemieckiej w Polsce.

FREDRO I ZAPOLSKA PO NIEMIECKU

Nakładem Henschelverlag w Berlinie wschodnim ukazały się następujące utwory teatralne polskich pisarzy w nowych przekładach Victora Miki: „Śluby panieńskie" i „Mąż i żona" Aleksandra Fredry oraz „Ich czworo" i „Zabusia" Gabrieli Zapolskiej. Warto tu przypomnieć, że zmarły przed paroma laty w naszym mieście scenograf i teatrolog Witold Małkowski, dokonał przekładu na niemiecki „Zemsty" Fredry. Przekład ten, naszym zdaniem, jest kongenialny. Szkoda tylko, że w Niemczech nieznany.

Notatnik kulturalny

PONIEDZIAŁEK

W swoim czasie w pewnym klubie pracowników handlu eksponowana była przezabawna wystawka. Ponieważ wystawka była tego rodzaju, że cały jej smaczek dostępny mógł być tym, którzy o historii malarstwa co nieco wiedzą, w klubie pracowników handlu przeszła ona bez echa. Była to mianowicie dość oryginalna ekspozycja — pokazała bowiem jak wyglądałyby słynne dzieła słynnych mistrzów, gdyby owi mistrzowie hołdowali zacnej manierze „jelenia na rykowisku". Wystawa — pastisz autorstwa p. Grzybowskiego powędrowała więc rychło do piwnic SPATiF-u, gdzie obrazy leżą do dziś. I właśnie dziś przechodząc obok eksponowanych na Bałuckim Rynku odpustowych makatek z Jasiem i Małgosią tudzież wszelaką zwierzyną — pomyślałem, że parodiom Grzybowskiego dzieje się krzywda. Pomyślałem, że trzeba koniecznie otrzepać je z kurzu i powtórnie tym razem przed szerszą publicznością wystawić. Myślę, że nie jest to zły pomysł.

WTOREK

Kinomani odetchnęli. Już po Festiwalu Festiwali Filmowych i można wreszcie odpocząć. A jest po czym. Nie mam oczywiście na myśli filmów — te jakie by w końcu nie były noszą na sobie signum festiwalowych wyróżnień. Mógłbym np. narzekać, że na „Pięknym maju" wynudziłem się setnie, ale to być może sprawa mojej niewrażliwości. Rzecz w czym innym. Kinomani odetchnęli po organizacyjnych przejemnościach festiwalu przerzucanego z jakichś tajemniczych przyczyn z kina do kina. Tak więc kinomani odetchnęli. Jeśli za rok filmy festiwalowe oglądać będziemy każdy w innym kinie, będzie to na pewno wynikiem cichej umowy Miejskiego Zarządu Kin z Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym.

ŚRODA

Tradycja. Kiedy dotkniesz tego słowa czujesz szorstkość patyny. Mało w tym mieście tradycji i rzadko od święta tylko pada to słowo. Tradycja — słowo z patyną ale na to słowo i na tę patynę pracują współcześni. Cieszę się zawsze ilekroć widzę próby tworzenia w tym mieście tradycji czy choćby tylko tradycyjki. Intymne środowe spotkania pisarzy z czytelnikami w księgarni przy Piotrkowskiej 103 — są chyba taką próbą. I nie jest ważne przecież, że dzisiaj Marian Piechal i Tadeusz Giegier podpisali zaledwie kilkanaście swoich tomików — ważna jest próba.

CZWARTEK

Dziś w muzeach dzień tradycyjnej darmochy. I właśnie dziś otrzymałem z dyrekcji Muzeum Sztuki dwa ładnie wydane informatory. Publikacje te są bardzo bogate w informacje, bardzo przejrzyste i na pewno bardzo potrzebne — więc ucieszyłem się, że są, że Muzeum o nich pomyślało. Ale spojrzałem na nakład, a nakład informatorów malutki — 2 tysiące i 5 tysięcy. A przecież warto by je wysłać do wszystkich łódzkich szkół, do klubów i domów kultury — warto by zainteresować nimi wojewódzwo — a więc dalsze tysiące szkół, klubów i domów kultury. O atrakcjach Muzeum Sztuki w gruncie rzeczy wiemy niewiele.

PIĄTEK

Odwiedziłem dziś moją znajomą kierowniczkę pewnej świetlicy. Skarżyła się, że ma kłopoty — rewidenci doszukali się jakichś niedokładności w księgowości. Oczywiście rzecz jest śmieszna — jakieś groszowe wydatki na oranżadę dla zespołu amatorskiego — trudno przecież żądać rachunku za parę butelek — w gorączce przed występem któż o tym myśli. Ale po miesiącach przychodzi kontroler i mówi — ukradłeś. Kontroler jest urzędnikiem, nie pocił się w szybkim tańcu na scenie, nie przeżywał emocji amatorskiego sukcesu — interesuje go potwierdzenie tamtego wieczoru w postaci rachunku za parę butelek oranżady. I w końcu ma rację, ma swoją służbową rację, tak jak moja znajoma ma swoją subiektywną rację. Gdzież jest więc punkt styczny tych dwu racji w życiu, które nie jest takie proste, jak urzędowy formularz i nie za każdy nasz gest odwdzięcza się rachunkiem z pieczątką „zapłacone".

SOBOTA

Księgę humoru żydowskiego Horacego Safrina pt. „Przy szabasowych świecach" zdobyłem przez zwykłe kumoterstwo. Była jedną z książek-widm o których co prawda dużo się mówi, ale które normalną drogą są do nabycia niedostępne. Bardziej już dostępna była impreza w KMPiK p.n. „Wieczór pieśni i humoru żydowskiego". Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów wyszło ze swego klubu na Więckowskiego dając łodzianom piękny wieczór — nazwałbym go wieczorem wspomnień — na terenie otwartym. Stara Łódź była miastem wielonarodowym i myślę, że wszystko co należy do żydowskiego folkloru jest nam bardzo bliskie, jest jakąś cząstką starej Łodzi, bez powrotnie odeszłej Łodzi.

NIEDZIELA

Wyciągasz się w fotelu, bierzesz plik gazet do ręki. (Ponieważ ostatnio w prasie obserwujesz zalew artykułów na temat szkodliwości palenia tytoniu, papierosa nie zapalasz żeby się nie irytować). Czytasz i... oczom nie wierzysz. Jutro odbędzie się na Politechnice Łódzkiej obrona pracy doktorskiej pt. „Kopolimeryzacja semi-winylowa metakrylanu metylu i fenylodwuchlorofosiny". Przypominasz sobie humoreskę Tuwima gdzie to „Z powodu kajli na iberiaufie trychter robiony był na szoner, a nie krajcowany" i postanawiasz pójść jutro na PŁ aby dowiedzieć się co słychać w świecie kopolimeryzacji semi-winylowej. Ale to tylko pierwszy odruch. Wiesz, że nie pójdziesz. Nie będziesz miał odwagi. Świat metakrylanów napawa cię strachem.

J.W.

warto posłuchać

Główną atrakcją XXVIII koncertu symfonicznego Filharmonii Łódzkiej — 21 i 22 II. 64 r. — jest udział japońskiej pianistki Kiyoko Tanaka. 22 lutego to rocznica urodzin Fryderyka Chopina (1810 r.), dlatego Tanaka grać będzie z orkiestrą koncert e-moll ten sam, który przed dziewięciu laty w Warszawie zapewnił jej zaszczytne miejsce wśród laureatów V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego. Znany pisarz Jerzy Broszkiewicz, ówczesny felietonista muzyczny „Przeglądu kulturalnego" tak pisał o jej występie: „Koncert e-moll Kiyoko Tanaki przypomniał, że jest ona jednym z najbogatszych, najbardziej samodzielnych talentów Konkursu. Koncert e-moll nabrał dzięki niej nowych barw i świetności. W dłoniach szczupłej, drobnej dziewczyny zmężniał i urósł — niczego przy tym nie tracąc z najbardziej subtelnych uroków. Do jego śpiewności, do całego blasku faktury Tanaka dodała wyrazistych, rytmicznych pulsów, wspaniale przygotowywała główne akcenty konstrukcyjne — obudziła w przeliryzowanym zazwyczaj Koncercie porywczą odwagę młodego romantyka. No i dźwięk — tak jasny, że pełen radości, i tak bogaty, że mówiący też wszystko. o... smutku".

Oprócz koncertu e-moll Kiyoko Tanaka wykona kilka innych, solowych utworów Chopina.

Pozycją orkiestrową, zresztą jedyną, która w całości wypełni I część koncertu będzie IV symfonia A-dur, tzw. „Włoska" Feliksa Mendelssohna. Podobnie jak „Szkocka", symfonia „Włoska" inspirowana była wrażeniami z podróży. Efektem podróży młodego kompozytora do Włoch (1830 r.) jest kilka „pieśni bez słów" kantata „Noc Walpurgii" do tekstu Goethego i właśnie symfonia A-dur. Swą nazwę zawdzięcza ona przede wszystkim części IV Presto, w której tętnią żywiołowe rytmy ludowego tańca włoskiego „saltarello" a także części I bardzo pogodnej, pełnej wigoru i radości życia, odzwierciedlającej słoneczny obraz Południa. Część II Andante wg relacji Moschelesa oparta jest na pieśni morawskich pielgrzymów, natomiast III — Menuet przypomina schubertowskiego laendera.

Przy pulpicie dyrygenckim zobaczymy po dość długiej nieobecności — wyjazdy zagraniczne i krajowe — kierownika artystycznego Filharmonii Łódzkiej Stefana Marczyka.

Z. G.

KULISY ODWOŁANEGO KONCERTU

Odwołanie łódzkiego koncertu Gilberta Becaud było dla mnie dużym zaskoczeniem. W połowie grudnia bowiem łódzka „Estrada" w porozumieniu z Pagartem ustaliła termin koncertu tego znakomitego pieśniarza, kompozytora i aktora, rozwiesiła w mieście afisze i w lutym rozpoczęła sprzedaż biletów. I na niespełna tydzień przed koncertem nastąpiło jego odwołanie. Ogarnięty niepokojem pospieszyłem do Estrady, aby zasięgnąć tak zwanego języka. I oto co mi powiedziano.

Pagart „odstępując" piosenkarza na występ żąda — co jest rzeczą zrozumiałą — ekwiwalentu finansowego. Suma ta, w wypadku Gilberta Becaud zresztą dość wysoka, stanowi częściowo honorarium piosenkarza, częściowo wynagrodzenie towarzyszącej mu orkiestry oraz pokrywa koszty związane z przejazdem całej ekipy itp. Kolejnym wydatkiem organizatora występu — w tym wypadku łódzkiej Estrady — jest koszt wynajmu sali, afisze, porządkowi itp. „drobne wydatki", które w sumie składają się na wcale niedrobne tysiące. Naturalnie organizator liczy na pokrycie owych złotówkowych ekspensów wpływami za sprzedane bilety.

Ale wpływów nie było. W ciągu dwóch tygodni przedsprzedaży łodzianie kupili zaledwie 500 biletów, co stawiało Estradę przed niezbyt miłą perspektywą deficytu szacowanego orientacyjnie na niebagatelną sumę 100.000 zł. Jeśli dodamy, że przedsiębiorstwo pozostaje na własnym rozrachunku, to jasnym stanie się dlaczego Gilberta Becaud podziwiać będzie Warszawa, Katowice i Zakopane, a Łódź nie.

A właśnie — jak to wygląda w innych miastach? Otóż przede wszystkim posiadają one sale nie tak pojemne jak łódzka (myślę tu o Hali Sportowej, bo Filharmonia jest znowu za mała) w związku z czym ekwiwalent dla Pagartu wyrażony jest kwotą o wiele niższą. Po drugie — powiedzmy sobie szczerze, inne miasta łakną dobrych imprez. Na dodatkowy koncert Becaud w Warszawie (organizowany kosztem „łódzkiego" terminu) bilety zostały rozchwytane w ciągu kilku godzin. I to bilety kosztujące przeciętnie około 40 zł. U nas przeciętna cena wynosiła 15 zł. (!)

I tu chyba należałoby zadać pytanie, na które zresztą nie jestem w stanie odpowiedzieć: Jakich imprez muzycznych my, łodzianie potrzebujemy? — Na koncercie orkiestry symfonicznej ze Skopje dyrygowanej przez Igora Markevitcha sala Filharmonii świeciła łysinami pustych krzeseł — słynna francuska gwiazda piosenki Dalida klaniała się w ubiegłym roku ukrywanym wstydliwie w ciemnościach wolnym rzędom krzeseł Pałacu Sportowego. Chyba tylko jeden „maestro" Marino Marini potrafi wzbudzić zbiorowy entuzjazm...

Szkoda, że nie potrafimy docenić sztuki przez większe „S" śpiewanej czy granej, szkoda, bo muszę państwu na zakończenie powiedzieć, że przez odwołany koncert Gilberta Becaud straciliśmy także występ Sachy Distela, który przyjedzie do Polski w marcu, a którego łódzka Estrada z wyżej opisanych powodów nie sprowadzi do naszego miasta.

A zdanie „jakich imprez muzycznych my, łodzianie łakniemy" pozostawiam na razie ze znakiem zapytania. Mam nadzieję, że może ktoś z czytelników pokusi się o danie nań odpowiedzi — ja zaś kłaniam się pięknie i jadę do Zakopanego — na koncert Gilberta Becaud...

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

warto obejrzeć

W bieżącym tygodniu telewizja znowu potwierdza swoją obiegową nazwę „okna na świat". Będziemy mieli transmisje z Leningradu — „SMOLNY — SZTAB REWOLUCJI" w sobotę, 22 lutego, i z Moskwy — „INSTYTUT MEDYCYNY UZDROWISKOWEJ" we wtorek, 25 lutego. Od środy, 26, rozpoczną się transmisje mistrzostw świata w jeździe figurowej na lodzie z Dortmundu. Myślę, że to przenoszenie się — dzięki telewizji — z miejsca na miejsce dobrze potrafi oderwać nas od codzienności. Daje znakomite odprężenie, żwawo i ochoczo wyruszamy więc nazajutrz do pracy.

W tym roku nareszcie akcja telewizji zmierzająca do popularyzacji sportów zimowych przybiera sensowny kształt. Również miejscowa realizacja jest pięknym przykładem tego: dzieci obejrzą w warszawskich programach widowisko pt: „NAJPRZYJEMNIEJ JEST TAŃCZYĆ NA LODZIE" (sobota, 22. II.) i „BAWIMY SIĘ NA LODZIE" (niedziela, 23. II.).

W sobotę po południu Wrocław nada kolejne „CIEKAWOSTKI MATEMATYCZNE". To racjonalne przygotowanie okaże się niezbędne dla zniesienia irracjonalnego nadmiaru gatunkowo pokrewnych programów rozrywkowych — począwszy od „PRZY SOBOCIE PO ROBOCIE" (z Katowic) przez niedzielne „SPOTKANIE Z ORKIESTRĄ JAZZOWĄ POLSKIEGO RADIA" do występu kabaretu „MIKS" także w niedzielę, 23 lutego. Wybór przy takim nadmiarze jest konieczny, polecam „Miks". Wprawdzie w katowickim „Przy sobocie po robocie" zapowiedziały swój udział: duńska piosenkarka z Sopotu, Birke Wilke i Hanka Bielicka, a do wtóru orkiestrze jazzowej PR śpiewać będą, emablowane przez Lucjana Kydryńskiego, trzy panie: Ewa Demarczyk, Sława Przybylska i Wanda Warska, które również mają za sobą zagraniczne sukcesy, ja jednak — cóż na to poradzę — wolę miksowy, cienki głosik Elżbiety Czyżewskiej, parodie Janowskiej i sex-appeal Korsakówny. Ale to mój „prywatny" gust.

Spektakle teatralne na ten tydzień zapowiadane są aż trzy. W piątek, 21 lutego, Łódzki Teatr TV prezentuje Bertolda Brechta „PAN PUNTILLA I JEGO SŁUGA MATTI". Reżyseruje — jest to jego reżyserski debiut w telewizji — Tadeusz Minc. Grają m. in. Bohdana Majda i Janusz Kłosiński. Realizacja telewizyjna Mieczysława Małysz, scenografia Henri Poulain.

Po alegorycznym Brechcie — w poniedziałek, 24 lutego zobaczymy w warszawskim Teatrze TV widowisko opracowane w/g głośnej w dwudziestoleciu międzywojennym powieści Zbigniewa Uniłowskiego „WSPÓLNY POKÓJ". Przed kilku laty powieść ta była również podstawą noszącego taki sam tytuł filmu Wojciecha Hasa (z Gustawem Holoubkiem). Spektakl telewizyjny reżyseruje Jerzy Antczak, scenografia Jerzego Masłowskiego. Grają Ryszarda Hanin, Barbara Klimkiewicz, Ewa Krasnodębska, Kazimierz Opaliński, Marian Kociniak, Jan Matyjaszkiewicz, Michał Pawlicki, Stanisław Zaczyk, Andrzej Żarnecki i Władysław Kowalski.

Wreszcie trzeci spektakl, z Katowic, we wtorek, 25. II., — sztuka Anny Świrszczyńskiej „ORFEUSZ" w reżyserii Andrzeja Szaflańskiego.

Mamy zatem w bieżącym tygodniu nawał rozrywki, dużo teatru i — kontynuacja serii Claira. Po dwóch, niedawno pokazanych filmach Renè Claira, „Pod dachami Paryża" i „14 lipca", w sobotę 22. II. obejrzymy trzeci, „Niech żyje wolność". Film „Niech żyje wolność" powstały w r. 1932, porusza problemy wciąż odżywające — niewolenia człowieka przez maszynę i problem „nowoczesności", które doprowadziły sprawę funkcjonalności architektury i przedmiotów codziennego użytku — jak pisał krytyk — do „rozpaczliwej kulminacji". Zawartościa myślowa film Claira łączy się z „Dzisiejszymi czasami" Chaplina i „Moim wujaszkiem" Tatiego.

Na wtorek, 25. II., zapowiedziany jest reportaż Eugeniusza Pacha o pracy pogotowia milicyjnego pt. „26, 24, 24". Celne i autentyczne reportaże Pacha rzadko, niestety, pojawiają się na ekranie. Nie powinno się ich przeoczyć.

J. M.

Bestsellery minionego tygodnia

FILM

WŁÓKNIARZ — „Pechowiec na prerii"	24.336	widzów
POLONIA — „Julio, jesteś czarująca" (3 dni)	8.490	widzów

TEATR

NOWY — „Maria Stuart" Słowackiego (2 spektakle)	1.400	„
„Most" Szaniawskiego (2 spektakle)	800	„
POWSZECHNY — „Szkoła obmowy" Boguslawskiego (5 spektakli)	2.320	„
JARACZA — „W pustyni i w puszczy" wg. Sienkiewicza (3 spektakle)	2.100	„
„Zaproszenie do zamku" — Anouilha (3 spektakle)	1.500	„
OPERA — „Bal maskowy" Verdiego (1 spektakl)	620	„
„Cyganeria" Pucciniego (1 spektakl)	420	„
OPERETKA — „Kankan" Portera (7 spektakli)	4.200	„
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny orkiestry Wyższej Szkoły Muzycznej (1 koncert)		
Koncert muzyki dawnej Orkiestry Kameralnej „PRO MUSICA" (1 koncert)	300	„

warto obejrzeć

Wśród aktualnych premier filmowych bezspornie dominują filmy polskie. Zacznijmy od najbardziej interesującego, najambitniejszego — „WIANA" Jana Łomnickiego, który jako znany dokumentalista, twórca m. in. „Narodzin statku" i „Suity polskiej" zrealizował swój pierwszy film fabularny. Współczesna tematyka wiejska, jak do tej chwili, w polskiej kinematografii nie była dla reżyserów atrakcją i po prostu „nie chwytała". Unikano jej i nikt ostatnio poza reż. Dziedziną („Mam tu swój dom") nie odważył się dotknąć wiejskich spraw. Jan Łomnicki nie zląkł się i zrealizował film bardzo prawdziwy. Ukazał bohaterów bez upiększeń, wyposażył ich w ludzkie nawyki i złe skłonności, pokazał w codziennym działaniu. W „Wianie" widać sporo znakomitego materiału obserwacyjnego, obyczajowego. W sukurs Łomnickiemu przyszły doświadczenia dokumentalisty, podsuwając mu szereg ciekawych chwytów i rozwiązań formalnych w realizacji pierwszego filmu fabularnego. Zofia Kucówna stworzyła w „Wianie" jedną ze swoich najlepszych ról filmowych. Zdjęcia Kurta Webera bez zarzutu.

Na ostatnim Festiwalu Festiwali Filmowych kinematografia światowa ogólnie stwierdzając zaprezentowała tzw. filmy smutne. Warto więc wśród zagranicznych pozycji aktualnego repertuaru zwrócić uwagę na zrealizowaną w 1957 roku „GWIAZDĘ SZERYFA" Anthony Manna, twórcę „Winchestera 73". Dziki Zachód — młody szeryf stara się zaprowadzić porządek w mieście opanowanym przez sprytną bandę, uznającą wszystkie chwyty za dozwolone w walce o władzę. Oczywiście, młody szeryf ma również sprzymierzeńców i wszystko kończy się tak jak w westernach przystało — happy endem. Anthony Mann nie bez przyczyny uważany jest za jednego z wybitniejszych twórców westernu, toteż tempo akcji „Gwiazdy szeryfa" jest momentami prawie błyskawiczne. Niemniej reżyser dba także o bohaterów, których sylwetki świetnie różnicuje ukazując kilka znakomitych w rysunku psychologicznym postaci.

O tym jednak, że nawet wybitnym reżyserom zdarzają się także niewypały świadczy film Mario Soldatiego „PRZEMYTNIK Z PIEMONTU". Aż trudno uwierzyć, że ten doświadczony i ambitny twórca filmowy, autor „Ucieczki do Francji" i kapitalnego w swej roli filmu „O.K. Nero!" zrealizował kicz w kostiumach wziętych chyba ze wszystkich dostępnych rekwizytorni. Pomijając już absolutnie bzdurną fabułę tego „filmowego nieporozumienia" należy napisać, że zabawny i żałosny jest w swej ospałości i drętwocie ciała, znany i ceniony skądinąd Raf Vallone w roli francuskiego Jasię na marginesie rozpowszechniania tego filmu uwaga, kto coś takiego i za czyje pieniądze przemyca na nasze ekrany?

A. N.

Flirt z czytelnikiem

JESZCZE JEDEN LIST W SPRAWIE KASPRZYKA

„Pan, podpisujący się pseudonimem, być może nazwiskiem Punch, rozważa możliwości ponownego dopuszczenia do boksu Mariana Kasprzyka, zdolnego, znanego pięściarza a jeszcze bardziej chuligana — pisze p. A. Pikierski z Łodzi. Nie tyle rozważa a raczej jest przekonany, że maluczko a dowiemy się, że Kasprzyk jest kandydatem na „Tokio". Pan „Punch'a" w sposób wprost wzruszający roztacza przed czytelnikami obraz tego pięściarza, bada jego możliwości, w końcu dochodzi do wniosku, że pasuje jak ulał do naszej reprezentacji olimpijskiej.

Przytoczę kilka zdań artykułu: „Skazano Kasprzyka. Odsiedział swoje. Wyszedł z celi. Dlaczego ma nie boksować?".

Dalej autor używa argumentów wprost żenujących. Porównuje przykładowo uchybienia stolarza czy fryzjera i stwierdza, że „są to przestępstwa zawodowe". A Kasprzyk przecież, jak mówi, sędziów po ringu nie gonił a więc nie popełnił tego „przestępstwa zawodowego".

Tutaj pozwolę sobie wtrącić moje skromne zdanie. Pięściarz, na którego trenerzy zwracają szczególną uwagę, pięściarz reprezentant, na treningach zapewne przyswaja sobie umiejętności odpowiedniego unicestwienia przeciwnika za pomocą ciosu w podbródek, żołądek czy jak się to mówi „w sam punkt". Bo w boksie, żebyśmy nie wiem co mówili o tzw. „czystej" walce, właśnie o to chodzi. A więc, wracając do tematu, pięściarz, który wykazuje się powyższymi umiejętnościami użytymi w ringu, zapewne jest dobrym pięściarzem. Ale gdy pięściarz wychodzi z ringu, staje się zwykłym obywatelem i musi przestrzegać ogólnie obowiązujących norm prawa. A Kasprzyk umiejętności pięściarskie, nabyte m. in. na treningach, wykazywał nie tylko swym przeciwnikom w ringu, ale również przechodniom na ulicy. Tak więc wbrew temu co pisze p. „Punch", dopuścił się „przestępstwa zawodowego". Tutaj też włączę się w tok porównań. p. „Puncha". Jeżeli jakiś przykładowy kierownik lub księgowy popełni defraudację, zostanie osądzony i karę swą odbędzie, czy wolno nam z czystym sumieniem powierzyć mu stanowisko kierownika lub księgowego? Wydaje się, że nie. A Kasprzyka, mistrza pięści wolno nam wprowadzać ponownie w atmosferę siły i obijania bliźniego. Również chyba nie.

No tak, ale został skazany, karę odbył a Olimpiada blisko. Na litość boską, puśćmy Mariana Kasprzyka na ring, może przywiezie jakiś medal. Nie odbierajmy mu rękawic. Zróbmy to jak najszybciej — takie sugestie dają się wyczuć po przeczytaniu artykułu. Wydaje mi się, że p. „Punch" zapomniał, o tym, że wyjazd na Olimpiadę powinno się traktować nie tylko z punktu widzenia zdobycia medali. Kasprzyk nie zasłużył na zaszczyt noszenia koszulki z białym orłem, na zaszczyt reprezentowania swego kraju. Wysłanie go na Olimpiadę byłoby krzywdą dla mozolnie pracujących nad sobą pięściarzy w rodzaju Kućmierza, Siodły czy Knuta. Że są słabsi? To raczej nie wysyłajmy żadnych zawodników w tej wadze, przynajmniej zaoszczędzimy dewiz. Przykład Listona, obecnego mistrza świata wszech wag, eksgangstera, nie wytrzymuje porównania. Kasprzyk odbył karę z punktu widzenia obywatela, jako sportowiec zdyskredytował się dożywotnio. I kary tej, raz nałożonej, nie wolno zmieniać.

Nie „Punch" nie ironizował. Pisał poważnie.

Jak donosi prasa, Okręgowy Związek Bokserski, w którym zarejestrowany jest Kasprzyk, wystąpił o ułaskawienie tego pięściarza. Widocznie opiekunowie doszli do wniosku, że Kasprzyk się poprawił.

HOBBY CZY PRACA SPOŁECZNA?

Pan Stanisław Walicki (Łódź, Sienkiewicza 52 m. 34) dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego opracowuje z wycinków prasowych wielotomową kronikę niektórych miast i wszystkich powiatów województwa łódzkiego. Materiał do kroniki czerpie głównie z prasy.

„W pracy swojej odczuwam brak starych roczników pism regionalnych woj. łódzkiego oraz wojewódzkich mutacji „Dziennika Łódzkiego" i „Głosu Robotniczego". Gdyby znalazł się ofiarodawca wymienionych pism dla użytku mojej kroniki, byłbym za to bardzo wdzięczny".

Kto pomoże p. Walickiemu?

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17.
Zam. 488 II. 64. E-4